



OPOWIADANIA





ANDRZEJ W. WODZIŃSKI

NIĆ ARIADNY - WIKTORII

Bonjour! Albo dzień dobry, babciu, jeśli wolisz, ależ dzień okropny -pada śnieg z deszczem, a do tego jeszcze cała Warszawa zablokowana przez strajkujących górników, pielęgniarki, lekarzy, nauczycieli i chyba nawet celników, ale tego nie jestem pewien, czy i oni protestują i przestali pilnować naszych granic? Ale tak, jak obiecałem ci telefonicznie - przyjechałem do ciebie obliczyć te twoje podatki w PIT, pomimo, że jestem straszliwie zatłoczony, niczym nasz sympatyczny listonosz, pan Zenek, będący aktualnie na zastępstwie w nieswoim rewirze pocztowym na warszawskiej Sadybie Oficerskiej. Klnie ten pan Zenek na trzeźwo, jak szewc po pijaku w szewski, czy murarz w murarski, poniedziałek. Klnie swój los i zastępstwo za złodzieja-kolegę, które naczelnik poczty mu wyznaczył, a właściwie wtrynął bezczelnie za karę za to, że nie chciał roznosić paczek z płatnymi ulotkami wyborczymi. Paczki te były ciężkie, jak życie pana Zenka, a pieniądze za to wyborcze rozsiewanie lekkie, jak piórko wróbelka. A pan Zenek ma już ponad 60. lat i mówi: „Gdy po kopie, to i po chłopie”. Poza tym, gdziekolwiek poszedł w tym nowym rewirze z listami, to starsi ludzie pytali go, czy jego kolegę-złodzieja - tego dawnego - listonosza - policja już złapała z ich ukradzionymi emeryturami? Te pytania emerytów i rencistów pana Zenka doprowadzają do rozpaczy, bo raz, że sam nie wie, na jakim etapie jest śledztwo policyjne, a dwa to, że jest osobiście człowiekiem uczciwym, aż można powiedzieć: do pewnej przesady. Ano tak, bo kiedy mu jakaś emerytka chce dać pięć złotych za przyniesienie emerytury w wysokości 500 zł, to zdecydowanie odmawia „koszyczkowego dla listonosza” i mówi: „A niech pani da spokój i za te pięć złotych kupi sobie kilo bananów, jabłek czy pomarańczy”.

Tego poprzedniego listonosza, który przywłaszczył był sobie emerytury naszych seniorów i uciekł do Anglii, dotknął może „syndrom ciekawości świata” kolejarza z

utworu Reymonta, który - jak pamiętam przez mgłę ze szkoły - ciągle odprawiał pociągi we wszystkich kierunkach świata. W końcu, ciekawy przygód, zdefraudował jakieś pieniądze z kasy kolei i wyjechał do Paryża, a tam zobaczył, że wszędzie na świecie jest - niestety - tak samo, tylko w innych trochę dekoracjach. Po tej przykłej konstatacji, gdy skończyły mu się środki pieniężne - położył się na torach pod pędzącą lokomotywę w celach samobójczych. Oby tego listonosza-defraudanta nie spotkał los podobny do tragicznego losu kolejarza z utworu Reymonta!

Spóźniłem się ze dwie godziny, ale wybac mi, babciu, to przez te strajki, pogodę i zatłoczenie - tak właśnie, na jednym oddechu, wyrecytowałem babci Wiktorii - jak pani nauczycielce w szkole podstawowej - swoje usprawiedliwienie za spóźnienie, no, i te ogólne nasze dzisiejsze współczesne zabieganie. Babcia Wiktorii po moich słowach i przeprosinach nie wydawała się być w jakikolwiek sposób czymś zdenerwowana, czy też jakoś rozczarowana, a na jej rumianej pogodnej twarzy nie zauważyłem nawet małego grymasu zawodu, czy wyrzutu. Odłożyła na orzechowy stolik nocny trzymaną właśnie w ręku książkę w języku francuskim i łagodnie uśmiechając się, powoli zaczęła cicho mówić, jakby chciała za chwilę zdradzić mi jakąś dawno ukrywaną tajemnicę rodzinną.

- Siadaj, kochany wnuczku, powiedziała miękko. Bardzo się cieszę, że mnie wreszcie odwiedziłeś. W tym tygodniu drzwi mojego domu po prostu nie zamykają się - goście walą do mnie, jak (nie przymierzając) na imieniny do ex-prezydenta Wałęsy. Po co oni do tego, dawnego elektryka, tak walą, tego nie wiem. Pewnie, żeby się tam u niego na-walić, jak nawala się bezustannie, niczym jakiś dawny wsio-wy fornal, następny ex-prezydent Aleksander Kwaśniewski. Dziś wszyscy tak się bardzo spieszą! W poniedziałek odwiedził mnie w expressowym tempie glazur-

nik, który poprawiał to, co spartolił szybko tydzień temu, a we wtorek był hydraulik i naprawił błyskawicznie nowy prysznic zakładany przez niego pospiesznie dwa tygodnie temu. W środę przyszedł z kolei żwawo młody ksiądz z kolędą. - O! On to miał za zadanie naprawić szybko moja duszę, ale nic z tego, niestety, nie wyszło. Po standardowej modlitwie, poświęceniu mieszkania i pobraniu koperty ze stuzłotowym „co łaska”, oraz podarowaniu lakierowanego obrazeczka ze świętą rodziną - ksiądz zapytał mnie nieopatrznie, co u pani słyhać, i jeszcze: jak się pani czuje? A ja, głupia, rozczuliłam się tym pytaniem, bo w minionym miesiącu nikt mnie, wyłączając ciebie, wnuczku, o to nie zapytał.

Nie pomyśl sobie czasem, *mon ami*, że zaczęłam owemu młodemu księdzu żalić się, jaka to ja jestem samotna, stara i chora. Jeszcze do tego stopnia nie zgłupiałam i doktor Alzheimer nie ma na razie co u mnie szukać. Choć w jakiejś niedalekiej przyszłości, któż to wie? Powiedziałam tylko, że dziękuję mu serdecznie za jego zainteresowanie moją, nic nie znaczącą osobą, i że w czasie II wojny światowej i zaraz po niej przechodziłam mały kryzys wiary. Nie mogłam po prostu zrozumieć -zresztą nie tylko ja jedna, jak dobry Bóg mógł pozwolić na te wszystkie zbrodnie i okropności, które wyprawiali z nami Niemcy i Rosjanie.

Opisałam mu też w kilku żartobliwych słowach swoją obecną kondycję fizyczno-psychiczno-transcendentalną - wspominając *malgre tout*, czyli wiesz, mimo wszystko, że kilka dni temu szukałam czegoś na dolnej półce w starym, jak ja, kredensie, i w związku z tym szukaniem musiałam, chcąc nie chcąc, uklęknąć na dwa kolana, niczym do żarliwej modlitwy! A z uklęknięciem to jest tak, jak z wejściem na górę - pomimo, że trudno to się robi, a więc wchodzi na ową górę, to jeszcze trudniej jest z takiej góry zejść lub powstać z klęcek, zwłaszcza, jak ma się tyle lat, co ja mam. I tak klęczałam z dobre pół godziny - nie mogąc powrócić do pozycji stojącej, wyróżniającej nas wśród naczelnych i ssaków, chodzących na czwo-



📷 Tomasz Młynarczyk

raka.

Kiedy tak klęczałam, nie z własnej przecież woli, lecz raczej z powodu mojej fizycznej niesprawności, to przypominałam sobie niespodziewanie, co powiedział niegdyś „papież uśmiechu”, czyli dobrotliwie mądry Jan XXIII, i zacytowałam jego słowa młodemu księdzu: „Nigdy człowiek nie jest tak wielki, jak wtedy, gdy klęczy”. Ja, oczywiście, z tym pięknym stwierdzeniem „papieża uśmiechu” w pełni się zgadzam, ale tylko w tym wypadku, gdy mamy na myśli własną modlitwę do Pana Boga, a nie w ogóle życiową postawę. Nasz naród

przez kilkaset lat klęczał i klęczał, i nadeszła najwyższa pora, by wstał z kolan, ale to już inna opowieść. Zupełnie niepotrzebnie na końcu przypominałam i powiedziałam uczynnemu księdzu, co mówił mój zabawny przyjaciel-agnostyk z czasu studiów na Uniwersytecie, że mianowicie: „Dusza i tak jest nieśmiertelna, jak twierdzą przecież katolicy, więc dbajmy starannie o ciało i dobre samopoczucie”. To stwierdzenie nieomal rozjuszyło księdza-gościa (po kolędzie) i zaktywizowało go do tym staranniejszej ewangelizacji mnie. Zupełnie niepotrzebnie, bo ja i tak w ogóle wierzę w Boga i zmartwychwstanie Pana Jezusa, no, ale cóż, ten ksiądz był w pracy i wykonywał swoje obowiązki pracowniczo-apostolskie, co jest zgodne z jego powołaniem i zrozumiałe dla każdego. Z pewnym zapałem, a nawet określiłabym to: z zapalczywością, ten młody kapłan zaczął mi opowiadać o jakimś mieczu, który ostrzemy o kamień przed bitwą -a więc może Pan Bóg i los polski nasz nas tak ostrzy, jak my ów miecz - trąc klingę nieszczęściem i wtedy - STAJEMY SIĘ! - wykrzyknął z emfazą.

Trzeba przyznać, że to ładna metafora i przenośnia, lecz nigdy bym nie pomyślała, że ktoś mnie kiedyś porówna do miecza; do pochwy na miecz, to tak, może i zgoda, ale ja jako miecz? Nic z tego nie rozumiem. Ale zostawmy w spokoju tego uduchowionego młodego kapłana, gdy opowiadał mi, *mon ami*, o tym zalatany listonoszu z warszawskiej Sadyby, to przypominał mi się zaraz również w nieco inny sposób „zalatany listonosz” z Buska Zdroju, o którym opowiadano, gdy byłam tam na leczeniu sanatoryjnym. Ten pracowity doręczyciel pocztowy zwykł ponoć mówić do młodszych, atrakcyjnych rencistów i przynajmniej od strony wizualnej przedwcześnie emerytek: „ja jestem taki zalatany i mam tak mało czasu, że pani powinna być rozebrana od pasa w dół, gdy spodziewa się mojego przyjscia ze świadčeniem zusowskim”. Słyszę i widzę, że babcię nie opuszcza humor przerwałem babuni, gdyż pomimo, że przebywałem w jej domu dopiero niecałe dziesięć minut, jakoś, nie wiedzieć czemu, zmarzłem i poczułem nagle przejmujące zimno. Co się

stało, babciu - kaloryfery u babci nie grzeją? - spytałem.

- *Oh, mon Dieu! Merci bien*, wnuczusiu, że tak się martwisz o starą kobietę - odparła babcia. A jeśli chodzi o kaloryfery, to minionego lata nasza stara warszawsko-żoliborska kamienica przeżyła prawdziwą rewolucję. Przeszła gruntowny - można śmiało powiedzieć, życiowy remont. Ocieplono i otynkowano ściany zewnętrzne, wymieniono okna, rury wodociągowe i kanalizacyjne, oraz zainstalowano nowe kaloryfery. Wszystko to za sprawą pracy nowych, dynamicznych administratorów oraz faktu, że po pół wieku odłączyliśmy się od wielkiej spółdzielni mieszkaniowej, marnotrawiącej nasze środki, i założyliśmy z sąsiadami małą spółdzielczą wspólnotę mieszkaniową. Do tego wszystkiego jeszcze czynsz obniżono o 1/3, ponadto jest czystiej, bezpieczniej, bo mamy dwa domofony. Do tej prawie idylli trzeba dodać, że dochodząca pani dozorczyńni jest osobą pracowitą, dyskretną, sympatyczną. W tej beczce miodu jest jednak jedna łyżka dziegciu i to są te nieszczęsne kaloryfery. Ileż ja tu miałam różnych komisji budowlano-wodociągowo- grzewczych, czy jak je tam nazwać. I co? Nic. Niby od strony technicznej wszystko jest znakomicie, lecz w praktyce źle, czyli raz ciepło, innym razem zimno. Badano te kaloryfery, czy nie są zapowietrzone, czy nie mają jakiejś wady technicznej. Była komisja z Instytutu Techniki Grzewczej Politechniki Warszawskiej. Ba! Przyjechał tu nawet na miejsce ich producent, gdyż są na okresie gwarancyjnym. Badał, czy są zainstalowane prawidłowo, zgodnie z normami, czy jego kontrola techniczna nie przepuściła aby jakiejś fuszerki. Stwierdził - tak, tak, w specjalnym raporcie - że spełniają niezbędne warunki techniczne, materiałowe, ekologiczne, unijne i... odjechał. Prywatnie ponoć powiedział, że chyba ktoś je tutaj zamarował. I zaklął. Zadał im coś, zamówił, zły urok rzucił. Może trzeba nałożyć na te tu kaloryfery czerwone wstążeczki, jakie czasami niektóre zwariowane młode mamy i starsze zabobonne damy zakładają na rączki swoim małym dzieciom lub pie-skom? Aby je odczarować, odczynić

niedobry urok i przepędzić od nich złe moce i niedobre spojrzenia?

Ano, tak. Tak było jeszcze długo po wojnie - bano się, żeby ktoś na dziecko nie rzucił „złego uroku” - złe wpłynął na jego losy, choćby samym spojrzeniem. Przecież mówi się do dziś - „na psa urok”. Może tu mieszka jakiś ZŁY, *genius loci*, czyli jakiś złośliwy Gieniusz Lok - brat Kaja, tego, co go tak źle potraktowała Królowa Śniegu - zażartowała. Ale ja mam inną teorię na ten temat, lecz o tej teorii, którą nazwałam na własny użytek „Teorią Narodowego Ciepłka” - powiem ci, wnuczku, za czas jakiś, a teraz nastawię szybko wodę na herbatę lub kawę, włączę dwa elektryczne słoneczka i zrobi się za chwilę ciepłutko jak w Afryce. Ale zanim to uczynię, to jeszcze w tej lodowatej, arktycznej temperaturze opowiem ci, drogi, co przeczytałam sobie w miesięczniku „Żyjmy dłużej”; był to numer grudniowy, a w nim pięć rad na rozgrzewkę.

Rzuciłam się na te rady, jak spragniony już nowej wody wielbłąd na pustyni Sahara. W tym artykule poradzono m.in. czytelnikom, że: „nawet najgrubszy sweter jest gorszy niż dwa cienkie, założone jeden na drugi. Radykalne odchudzanie zimą to zły pomysł, bo pozbawiając się kalorii, dodatkowo zmarzniemy. Angielskie filmy i specjalnie wybrana literatura pokazują służbę, wkładając pod pościel lorda lub jakieś *milady* butelki z gorącą wodą. Jeśli zmarzniemy, spróbujmy tego sposobu, zastępując butelki z gorącą wodą bardziej nowoczesnym termoforem”. Ja, jak widzisz wnuczku, już się zastosowałam do tych rad. Jestem ubrana na tzw. „cebulkę”, nigdy się nie odchudzałam, bo jestem i tak chuda, a w nocy podgrzewam się poduszką elektryczną. Przedtem wypijam jednak nie żadne ziółka, ale jednego normalnego głębszego z wytwórni winnic koniaków z okolic Bordeaux. Lub łyček własnej nalewki.

Najbardziej w tych poradach prasowych zainteresowało mnie takie stwierdzenie, że „zimno konserwuje - tak na przykład generałowa Aleksandra Zajączkowa (1754 - 1850) przez całe życie sypiała przy szeroko otwartych oknach na łóżku, którego ma-

terac był wypełniony lodem. Myła się wyłącznie lodowatą wodą, nie jadła gorących potraw. W wieku 70. lat miała cerę dwudziestolatki i o połowę młodszego kochanka. Zachowując urodę, zdrowie i żywy umysł dożyła 96. lat”. To była chyba właśnie ta Królowa Śniegu, tylko po reinkarnacji. Ja jej nie zazdroszczę wcale tego o połowę młodszego kochanka, zdobytego bez trudu w wieku 70. lat, ale tego, że taka była zahartowana. Dziś to ona mogłaby być śmiało prezeską owego, znanego ci Stowarzyszenia Morsów z naszego Wybrzeża, którzy w Nowy Rok co rusz kąpią się w przerębli na jeziorze, i pokazując to z należytą uwagą i komentarzami Telewizja Polska. Wiesz dobrze, drogi, że ma to odrębny „aspekt społeczny”, jakkolwiek trudno sądzić, co też ludzie z tego później pamiętają.

Wtedy prawdopodobnie każdy telewidz, siedząc w ciepłutkim domku przed telewizorem, gdy zobaczy „Morsów” mówi: brrr! I po cichu ich podziwia szmerząc sobie pod nosem: „no, ci to, cholera, mają zdrowie, jak jasny gwint!”. Ale ja przez pięć lat na Syberii mówiłam: brrr! Przy mrozie około 50 stopni Celsjusza, a dla małej, zwykłej tam rozgrzewki z koleżankami szkolnymi jeszcze ze średniej szkoły muzycznej w klasie fortepianu w Grodnie - ścinałam potężne drzewa kilkupiętrowe. Czym się dało i nie dało. I nikt mnie nie filmował - nie robił ze mną wywiadów telewizyjnych, istniałam całkowicie anonimowo. Byłam bezimiennym dla strażników numerem w Archipelagu Gułag, na „nie-ludzkiej ziemi”. A napisano o tym dopiero nieco później, tak, później nieco.

Babciu - wpadłem w słowo babuni - wtedy nie było tam telewizji, a gdyby nawet była jakaś kamera na statywie, to by babcię jako wroga ludu nie sfilmowano do radzieckiej kroniki filmowej, ale to nie powód, aby dzisiaj cierpieć i marznąć! Jeszcze nie skończyłem mówić, a już babci nie było w pokoju. Minęło może niecałe pięć minut, a przede mną stała porcelanowa filiżanka z parującą herbatą, na talerzyku obok leżały kruche francuskie ciasteczka obok miseczki z wiśniowymi konfiturami. Po niedługiej także chwili znalazłem się pomiędzy

dwoma elektrycznymi grzejnikami - zrobiło się ciepło, przytulnie, no, po prostu domowo. Czekając na babcię, a nie znosząc bezczynności umysłowej, wyjąłem z plecaka „Rzeczpospolitą” i zacząłem ją pobieżnie, szybko przeglądać. „Setki tysięcy graczy giełdowych wstrzymało oddech - giełdą rządzą rozchwiane emocje drobnych ciulaczy, którzy ulokowali pieniądze w funduszach inwestycyjnych” - przeczytałem. Ja nie wstrzymywałem żadnego oddechu, bo nie mam pieniędzy i nie gram na giełdzie - pomyślałem, i czytałem dalej: „telefony rozgrzane do czerwoności, oczy inwestorów wpatrzone w monitory z najnowszymi notowaniami, ale przede wszystkim strach malujący się na tysiącach twarzy. Giełda z czwartku na piątek poleciała w dół, a wraz z nią stopniały oszczędności Polaków”. Biedni ludzie - bogaci ludzie - powiedziałem głośno do wchodzącej właśnie do pokoju babci Wiktorii, niosącej na srebrnej niewielkiej owalnej tacy butelkę koniaku oraz dwa pękate kieliszki, i odłożyłem gazetę.

O jakich biednych ludziach mówisz, *mon ami*?

- Spytała z ciekawością babcia i ostrożnie położyła srebrną tacę z butelką i kieliszkami na stole przede mną. Przeczytałem właśnie, babciu, w gazecie, że polscy inwestorzy nerwowo, a właściwie panicznie zareagowali na kolejne wieści o spadkach wskaźników za oceanem i rzucili się do masowej ucieczki. Indeksy zanotowały gigantyczne spadki. Wskaźnik Dow Jones w USA na amerykańskiej giełdzie spada na łeb na szyję. - A co mu się stało? Zapytała ponownie babcia Wiktorii. No, jest recesja, babciu, w Stanach Zjednoczonych. - Ręce - co? Dopytywała się z powagą. Recesja, babciu, to okres spadku i zastoju w rozwoju gospodarczym, charakteryzujący się obniżeniem poziomu produktu narodowego.

- Nie wiem, jak to jest, *mon ami*, z tą gospodarką - z kpiącym uśmiechem mruknęła nieco z przekąsem babcia - ale jeszcze wczoraj słyszałam w radiu, jak nowy premier mówił, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Co prawda, to prawda, nie powiedział, ko-



mu będzie lepiej, ale ja zrozumiałam, że będzie lepiej wszystkim Polakom. Nie znam tego Dow Jonesa - czy to może jest jakiś krewny tego świetnego piosenkarza pop, Toma Jonesa? O, tego to poznałam i polubiłam, bardzo ładnie śpiewa, no, i bardzo przystojny, pamiętam jego piosenkę *Its Not Unusual* i *Delilah*. Kiedyś jego bardzo udatnie naśladował nasz polski pieśniarz, Krzysztof Krawczyk. Otwórz, *mon ami*, z łaski swojej ten koniak i nalej do kieliszków - wczoraj otrzymałam go w prezencie od mojej studentki, która przyjechała z Paryża i na chwilę wpadła do mnie z wizytką. Wstałem zza stołu, otworzyłem butelkę koniaku i rozlałem go do dwóch pękatych kieliszków. Babcia łagodnie uśmiechnęła się, a ja jeszcze przed zamoczeniem ust w złoty trunek postanowiłem odpowiedzieć na jej pytanie.

- Ten Dow Jones, babciu - wyjaśniłem - nie sądzę, aby był jakimś krewnym piosenkarza Toma Johnsa. To jest wskaźnik ekonomiczny amerykańskiej giełdy. Krótko i łopatologicznie mówiąc - wskazuje, czy na giełdzie kursy akcji zwyżkują, czy spadają. Czy w danej chwili jest tak zwana *bessa* czy też *hossa* - nie można mylić tej ostatniej z *hosanną*, bo to co innego. I jest to okrzyk wyrażający w religii chrześcijańskiej radość i triumf. On jest, ówże wskaźnik, jakby termometrem włożonym pod pachę amerykańskiej gospodarki - mierzącym dokładnie temperaturę jej ciała. Wskazuje, czy nie ma gorączki, czy jest zdrowa

- Dobrze, dobrze, przerwała mi babcia - wszystko rozumiem, nie męcz się już, wnusiu. Amerykanie, gdy się spotykają, to nieustannie pytają siebie: „Jak się masz?”. I zawsze odpowiadają sobie, że świetnie. No, i ten ich nieodłączny uśmiech na gębie, choćby przed chwilą spalił im się dom, wywalono ich z pracy, a żona uciekła z kochankiem. - Ja wolę Greków, którzy gdy się widzą, to pytają: „Jak się męczysz?”. Więc nie męcz się, wnuczku, bo ja się męczę, gdy ty się męczysz tłumacząc mi zażyłości ekonomii. Wskaźnik, wskaźnik to ja znam tylko ze szkoły, to był taki kijek do pokazywania jakiejś miejscowości na mapie. Nie sądzę, czy o tym, wnuczku

wiesz, ale taki wskaźnik nauczyciel geografii złamał na plecach twojego ojca. Dlatego, że tata nie umiał tym wskaźnikiem pokazać Stalingradu.

To był rok 1953 i jeszcze żył towarzysz Stalin, a ten nauczyciel wtedy krzyczał do twojego ojca i pytał: „Jak można w drugiej klasie szkoły podstawowej i w dodatku mając na imię Józef w ojczyźnie robotników i chłopów nie umieć pokazać bohaterskiego *goroda* Stalingradu? Twój ojciec miał wtedy siedem lat i tuż po tym, jak ten bandzior geograf złamał na nim wskaźnik - uśmiechnął się przebiegle, spryciarz, i nie dbale pokazał palcem Stalingrad, ale nie ten sowiecki, lecz ten polski, na Śląsku. Czy o tym wiesz, wnuczku, ale w tym czasie ludzie wiernopoddani sowiетom, tak zwani po cichu: liżydupy partyjne, nasi rodzimi komuniści na Stalingrad przemianowali pocziwie polskie Katowice. Ten wierny janczar komunistów geograf, gdy zobaczył, że twój ojciec - wtedy mały przecież chłopiec - zakpił sobie z niego, dostał szału i z pianą na ustach zaczął twojego ojca wyzywać od zaplutyh karłów sanacji. Nazwał go Kolumbem przed odkryciem Ameryki i jeszcze takie i inne inwektywy wykrzykiwał w jego stronę. Lecz twój ojciec, Józek, był już uodporniony na takich osobników - w domu zaszczepiliśmy go przeciw gruźlicy komunistycznej i uczyliśmy wszystkiego. Przygotowaliśmy go na najgorsze. On, pomimo że miał wtedy metrykalnie tylko lat 7, to tak naprawdę miał może ze dwadzieścia, może i więcej. Dobrze, poza tym, że ten geograficzny troglodyta nie wiedział, że twój ojciec, Józef, ma jeszcze na drugie imię Ludwik, bo dopiero by sobie na nim użył, odwołując się do Wielkiej Rewolucji Francuskiej i do ścięcia Ludwika XVI. Byłby takim jakobińsko-stalinowskim Dantonem czy Robespierrem. Jakaś gilotyna znalazłaby się z pewnością, a dyspozycyjny kat był przecież na miejscu.

Za niedługi czas, w marcu 1953, ludobójca Stalin zmarł. I mam nadzieję, że poszedł tam, gdzie jest jego miejsce, czyli do piekła. Był śniegowo-deszczowy marzec 1953. Wraciałam od lekarza - wioząc twoją ciotkę, a moją córkę Marysię w wózku - miała

wtedy ze dwa lata i zachorowała na zapalenie oskrzeli. Przechodząc przez zatłoczone Aleje Ujazdowskie w Warszawie zatrzymałam się na chwilę pod megafonem na słupie - ażeby przepuścić jadące kolumny wojskowych samochodów z żołnierzami. Z megafonu-szczekaczki leciała muzyka poważna, był to chyba Czajkowski, przerywana partyjnymi komunikatami o śmierci Stalina. Pod słupem stała grupa kilkudziesięciu pogrążonych w żałobie ludzi, niektórzy płakali, autentycznie - sama to widziałam na własne oczy i słyszałam na własne uszy, ten ich płacz. Naprawdę! Nie udawali, nikt ich do smutku i do tej żałoby nie zmuszał. Nie mogłam w to wprost uwierzyć, ja, która cudem boskim przeżyłam 5. lat łagru sowieckiego na Syberii.

To byli też Polacy, tacy jak i ja! Jedna z płaczących kobiet zapytała mnie, łkając: „Jak my bez niego będziemy żyli?”. Myślałam, że się wyrzygam - *oh, pardon* - zwymiotuję się na nią. Na domiar złego, chora mała Marysia w wózku zaczęła płakać, a ja już, tak ogłupiała do reszty, poczęłam ją uspokajać i uciszać. Wtedy usłyszałam zza pleców głos innej kobiety: „Niech towarzysza nie uspakaja tego dziecka - ono też płacze, jak my, po największej stracie, jaką mogła ponieść postępową ludzkość”. Obejrzałam się myśląc, że ktoś kpi, że robi sobie ze mnie jaja, jak powiada dzisiejsza postępową młodzież, ale nie. Kobieta, która wypowiedziała owe słowa płakała - z oczu leciały jej rześiste duże, jak grochy łzy, które wycierała białą chustką, wielką, jak poszewka do poduszki. Miała ze 30 lat - rumianą twarz, a na szyi czerwony krawat. Pomimo prośby towarzyszki w czerwonym krawacie, uciszałam Marysię - a już po latach mówiłam jej, że płakała, a właściwie to ryczała po śmierci Stalina. Polej, *mon ami*, z łaski swojej po kropelce koniaku jeszcze, a ja może zrobię ci kilka kanapek z bułką, szynką, z sałatą - zanim zjemy za godzinę lub dwie obiad.

Podziękowałam babci za troskliwość i przypomniałam sobie, że ja do niej nie przyjechałam też przecież z pustymi rękoma. Dawniej uczyła mnie, że jak się do kogoś przyjeżdża - obojętnie - z daleka czy bliska, to się przywozi „staropolski gościniec”. Na

Placu Wilsona kupiłem więc ciastka w cukierni Bliklego, które zostawiłem w reklamówce w korytarzu na półce pod lustrem. Oznajmiłem o tym babci, lecz ponownie, zanim skończyłem mówić, nagle, niczym duch, babcia znów zniknęła z pokoju. Pychota! - Usłyszałem zaraz z głębi korytarza głos babci, która tak, jak prędko wyszła z pokoju, tak równie szybko wróciła z powrotem - już tradycyjnie z tacą w rękach, na której były oczywiście zakupione przeze mnie ciastka w cukierni od Bliklego. No, no, nie wiesz nawet, *mon cher*, radosnym głosem wyszeptała głośno, jaką zrobiłeś mi frajdę przynosząc te ciastka, coś takiego słodkiego chodziło za mną od kilku dni - mam na myśli jakieś świeże ciasto lub ciastka, a nie takie kruche, jakie ci podałam do herbaty.

Jeśli nie chcesz teraz kanapek, to w odwróconym porządku rzeczy zaczniemy obiad od deseru. Proszę, poczęstuj się własnymi ciastkami, ja rezerwuję sobie, jeżeli pozwolisz, kremówkę, eklerkę i torcik Marcello. Ja wiem, że to wszystko prędko idzie w biodra i w cholesterol, ale gorsze są nałogi na świecie, a co mi w końcu, cholera, zostało z tego życia? Ja, kochany wnuczku, jestem osobą dawną - coraz bardziej i coraz częściej uświadamiam to sobie. Dużo spraw już nie rozumiem z dzisiejszego dnia chociaż naprawdę się staram, ale najgorzej jest, gdy stary człowiek wycofa się z bieżącego czasu. Oczywiście, pomijam takie sytuacje, gdy jest już tak obłożnie chory, czy niepełnosprawny, że nie może tego robić. Lecz, niestety, nie wymażę gumką-myszką w zeszytiku pod tytułem „Życie” tego, co przeżyłam pięć lat na Syberii w gułagu, następnie po II wojnie w Polsce, te dekady za komunistów. Ale przez cały czas niosłam w sobie swój przedwojenny szlachetny, rodzinny dom na Lubelszczyźnie, on dawał mi siłę, by przeżyć niejedno upokorzenie i niejedną tragedię. Chociaż byłam jak gdyby kobietą wędrowną, ale ten dom rodzinny we mnie, to były fundamenty całej mnie. A te fundamenty, to także cała moja dobra rodzina - dziadkowie, rodzice, rodzeństwo, nauczyciele, księża katecheci, sąsiedzi - Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Ormianie i Rosjanie. Ze wszystkimi tymi



 Tomasz Młynarczyk

nacjami żyliśmy przed II wojną światową, jak jedna wielka rodzina. Oczywiście, jak w każdej rodzinie, były nieporozumienia i draki - ktoś kogoś oszukał, ktoś komuś na zabawie dał po głbie, bo odbił mu dziewczynę. Żyd oszukał Polaka i odwrotnie. Ukraińiec zaorał pole na dwa łokcie sąsiadowi Białorusinowi, tak jak Kargul Pawlakowi, w słynnym filmie *Sami swoi* itd. itp.

Niczego nie upraszczam. To się wszędzie na świecie zdarza - nawet we Francji słynącej z elegancji. Coś o tym wiem, jako nauczycielka i tłumaczka francuskiego. Ale ja lubię, jak słowa stoją obok siebie i się sobie nie dziwią - podobnie lubię, jak słowa stoją obok czynów i zgadzają się ze sobą - nie dziwiąc się sobie. Że słowa co innego określają, a co innego wykonują czyny? Nie! Innymi słowy mówiąc - słowo się rzekło, to i kobyłka u płota. Tu występuje zasada akcji i reakcji, ale musi istnieć również naturalność i swoboda podejmowania decyzji bez przymrużania oka na prawdę. Po II wojnie, tak jak ci już mówiłam, *mon cher* - przechodziłam niewielki kryzys

wiary. Był to okres szalejącego stalinizmu ze wszystkimi jego konsekwencjami i skutkami dla ludzi myślących nieco inaczej niż komuniści. Na jakichś rekolekcjach wielkanocnych w Laskach pod Warszawą pewien stary ksiądz z wielkim garbem na plecach radził mi, by dziś: „umieć pięknie milczeć”. Oburzyło mnie to, czyli jakże to? Mam na złotą kłódkę zamknąć sobie pomalowane propagandową szminką uśmiechnięte usteczka - różowe jak moja pizdeczka - zapytałam? Tak, odpowiedział, i radził mi pokorę. Wtedy byłam jeszcze młoda, nie wytrzymałam i stwierdziłam, że pokora to jest czasem boża podszełka, wewnętrzna strona w płaszczu pychy. Pokiwał wówczas głową i krótko odparł - że tak rzeczywiście czasami jest, jednak zależy też, kto ma jaki płaszcz i jak ten płaszcz nosi.

Dziś, po latach, przyznaję mu rację. Trzeba było wtedy pięknie milczeć - przetrwać ten szkaradny czas i już się więcej nie wykrwawiać. Wystarczyła hekatomba polskiej krwi w całej wojnie - Wrzesień, Westerplatte, Katyń, Powstanie Warsza-

wskie i obozy zagłady. Ponadto nastąpiło ucięcie głowy Polsce przez likwidację warstwy jej inteligencji, a wiadomo, co robi ciało bez głowy. Jest tylko Golem, jakimś Frankensteinem. Jest chore na Alzheimera!

Niedawno, jak wiesz, *mon cher*, obchodziłam 85. urodziny i występowałam przez czas jakiś w roli wisienki na urodzinowym biało-kremowym torcie. To bardzo przyjemna rola - zwłaszcza, że ja urodziny obchodzę raz na cztery lata, bo urodziłam się 29. lutego w roku przestępnym, ale nie występnym. Dobrze miał ze mną twój śp. dziadek, Feliks, co już z samego imienia oznacza, że szczęśliwy, bo przecież łatwiej kupować żonie prezent urodzinowy raz na cztery lata, niż co roku. Ja mu już po latach mówiłam, że dobrze, żeśmy się nie pobrali właśnie 29. lutego, bo i rocznicę ślubu mielibyśmy też co cztery lata. A on wtedy odpowiedział mi, że to nie jest taki zły pomysł i że szkoda, że nie pomyślał o tym przed naszym ślubem. Zwierzak, ale bardzo go kochałam za poczucie humoru i inne liczne zalety charakteru.

Ale, po cóż tamto wspominać - choć może należy mówić - to jednak, cholera, wszystkie te chłopcy są takie same! Myślą tylko o jednym i chcą jak najwięcej zaoszczędzić na rodzonej żonie. Oczywiście, *mon cher*, potraktuj tę wypowiedź jako nieporadny żart starej kobiety! Czy aby cię nie nudzę, *mon ami*? - zapytała nieoczekiwanie babcia Wiktoria i, jakby znając moją odpowiedź, że nie - poprosiła o nalanie jeszcze po kropelce koniaku pięciogwiazdkowego. Chyba się nie uchlamy przed obiadem mam małe wyrzuty sumienia, że ty nie konkretnego, wnuczku, nie jadłeś, tylko te ciastka i ciastka - stwierdziła po chwili rozbawionym głosem babcia. Ależ, babciu - zapewniłem - jadłem obfite śniadanie w domu i nie jestem głodny, no i ciastka od Bliklego, co tu dużo mówić, też mają swoje kalorie. Niech babcia mówi dalej, poprosiłem, bo naprawdę chciałem coś jeszcze dowiedzieć się, czego nie wiedziałem o dziadku Feliksie i o powojennych wspólnych losach babci i dziadka.

Jeśli chcesz, *mon cher*, to w takim razie trochę jeszcze, jak głuszczy czy bażant będę tokować historyczno-filozoficznie. Jak ci już

kiedyś zapewne, mój drogi, mówiłam - francuski Żyd, Claude Levi-Strauss, filozof i publicysta, nie jest bohaterem mojego romansu, lecz kiedyś przenikliwie napisał, cytuję: - *Le regard éloigné*, - to jest „spojrzenie z oddali”. Publicysta polski, który też nie jest z mojej bajki, napisał esej na temat tych słów Levi-Straussa - mam go tu przed sobą, więc przeczytam ci kilka zdań z tego artykułu: „Ludzi starych i doświadczonych przez dzieje posadza się często *a priori* o konserwatyzm i zachowawczość. Oni tymczasem żyją dużo szybciej - im człowiek starszy, tym bardziej czas przyspiesza, znają więc cenę przemijania, bo wiedzą, że mogą nie zdążyć. Jednocześnie jednak widzieli zbyt wiele i tylu najedli się zatrutych owoców, by dawać się porywać ulotnym emocjom i modom. Nie są skłonni do potępień, bo nazbyt wiele widzieli i znana jest im słabość kondycji ludzkiej. Zyskali, co tylko z wiekiem przychodzi, zrozumienie proporcji i uwarunkowań przemijających zdarzeń”. Pełna zgoda na te słowa i na owo błogosławione zrozumienie, ale mam też mały sprzeciw w tej sprawie - nie każdy, pomimo podeszłego wieku - doznaje łaski owego błogosławionego zrozumienia. Siwe włosy jeszcze o niczym nie świadczą, czyli o mądrości i refleksji nad dopiero co (zda się) minionym i teraźniejszym życiem. Poza tym, tak sobie myślę wieczorami przed snem i pacierzem do Wszechmocnego Pana, że prawdziwie zła, okropna starość, to jest wycofanie się, brak ciekawości świata. Przekonanie, że już nic dobrego nas nie spotka, nie zdarzy się, nie zaskoczy, nie zdziwi, nie rozśmieszy. Nie otrzymamy nigdy jakiegokolwiek, dotyczącej nas radosnej informacji - nawet takiej, że nie chorujemy na raka, ale „tylko” na przykład na schorzenie, które może wyleczyć współczesna medycyna.

Prawdziwie zła, niedobra starość, która jako jedna z niewielu spraw nie udała się Panu Bogu to pogodzenie się ze złudzeniem, że musimy zaakceptować tragiczny przypadek, tragiczny los, to brak ochoty i woli do walki o „jutrzejszy dzień”, o następną choćby godzinę bez bólu istnienia. A przecież życia i swojego losu nie wybieramy, choć niektórzy żartownisie twierdzą, że

wszyscy jesteśmy kowalami własnego losu. Nic bardziej mylnego i fałszywego. Wszystko zależy od tego kiedy i gdzie, i w jakiej rodzinie człowiek się urodził. Ja poza tym wierzę w przeznaczenie, na przykładzie ludzi, których znałam i którzy nie zasługiwali na swój dobry, pyszny los - tj. spaceru przez życie po dywanie z płatków róż. W porównaniu z ludźmi, którzy przerastali ich o głowę, o niebo charakterem, sercem i wiedzą. Lecz zginęli.

A gdy jeszcze porównam tych szczęściarzy do niezwykle szlachetnych i nawet bohaterskich, wartościowych ludzi, którym się nie udało i ich unicestwiono, to jestem przekonana, że jest jakiś rodzaj ludzkiego przeznaczenia. Nawet to, jak poznałam twojego dziadka Feliksa, to był kosmiczny, żeby nie powiedzieć boski przypadek. Gdy wracałam z sowieckiej Rosji, późnym latem 1945., a dokładnie to wracałam wtedy z Syberii pociągiem towarowym do Polski, wraz z innymi nieszczęślikami polskimi i wypędzonymi *repatrijantami*, już za Bugiem, czyli w granicach mojej nowej Ojczyzny - wysiadłam z bydlęcego wagonu, aby przynieść wody na herbatę i do umycia się. Było to na stacji kolejowej Włodawa. Woda była - nabrałam jej w jakieś wiadro, ale gdy wróciłam do eszelonu - mojego pociągu już nie było. Po prostu odjechał sobie w siną dal. W tym pociągu znajdowały się jeszcze dwie moje przyjaciółki, z którymi przeżyłam najcięższy czas syberyjski. Na tej stacji kolejowej po raz pierwszy od wybuchu II wojny światowej - rozplakałam się!

Nie uroniłam ani jednej łzy przez ponad pięć lat w gulagu na Syberii. Na moich rękach i oczach umierali ludzie, ale nigdy nie zapłakałam, a tu, proszę, stałam i ryczałam na peronie jak ciele, któremu zabrali matkę na rzeź. Wtedy, gdy tak płakałam, a może nawet zanosilałam się płaczem - podszedł do mnie wysoki, młody mężczyzna w mundurze leśnika i spytał mnie - dlaczego płacze? Nie wiedziałam dlaczego płaczę, ale przez łzy - tak sobie patrzę, że stoi przede mną przystojny, wyższy ode mnie blondyn.

Patrzył na mnie współczująco uważnymi,

inteligentnymi, chabrowymi oczami i mówił do mnie językiem polskim znamionującym, że przeczytał w życiu chyba więcej niż dwie książki. I co najważniejsze - to nie to, że młody i przystojny, ale wyższy ode mnie. A ja przecież prawdziwa „wieża Eiffla”, jak mnie celnie nazywano w przedwojennym liceum. Wzrost: 183. cm, a wtedy mało było mężczyzn nawet równych mi wzrostem - nie mówiąc o wyższych. A gdy ten wysoki, przystojny młody leśnik ujął mnie za rękę i zabrał mi wiadro i wyrzucił je za tory - przedstawił się i pocałował mnie w rękę - to tam na stacji kolejowej we Włodawie doznałam tego, co Francuzi nazywają *coupe de foudre*, czyli uderzeniem pioruna i miłością od pierwszego wejrzenia. I komu to się przytrafiło, ta - *l' amour fou* - prawdziwie szalona, i nieco absurdalna miłość 22. letniej dziewczynie, która przeszła nieludzkie piekło Kołomy i przy swoim wzroście 183. cm ważyła 42 kg oraz uszła setki razy śmierci spod łopaty?! Kobiecie, która była ubrana, owszem, nie w jakąś normalną sukienkę od krawcowej, lecz w pozszywany parciany worek, dziewczynie z odmrożonymi rękami, nosem, uszami i nogami. A przede wszystkim z odmrożonym sercem i zamrożonym mózgiem. Leśnik zaprowadził mnie do klasztoru Paulinów, gdzie pierwszy raz od ponad pięciu lat wykapałam się w wannie z gorącą wodą, zjadłam kolację na śnieżnobiałym obrusie z porcelanowego talerza i poszłam spać do łóżka z czystą pościelą bez wszy. Zanim zasnęłam, znów się rozplakałam, ale na szczęście nikt już tego nie widział. Choć słyszał to Bóg, w to wierzę. Dlaczego się znów rozplakałam?

Dziś wiem, dlaczego - bo wreszcie coś we mnie pękło - wróciłam do jakiejś zwykłej ludzkiej normalności - po prostu odreago瓦łam te przekłete pięć lat znieważania, zagrożenia życia, głodu, upodlenia własnej kobiecości, poniżania godności ludzkiej, upokorzenia, bycia parocyfrowym numerem obozowym. Zanim doszłam z młodym, wysokim leśnikiem do klasztoru lubelskich Paulinów we Włodawie - obiecał mi po drodze, że się dowie, gdzie mój pociąg pojechał. Na szczęście od Boga

jedynego - miałam przy sobie swoje dokumenty, a w pociągu zostało tylko pudełko po butach, a w nim kilka moich nic nie znaczących drobiazgów. Przyjaciółki z obozu na Syberii spotkałam dopiero w Krakowie, po wielu latach - bo wtedy nie było telefonów komórkowych i Internetu, żeby do siebie zatelefonować czy napisać e-maila.

Przy słowie „Internet” babcia Wiktoria dyskretnie wyjęła chusteczkę z trójkątnej kieszonki w beżowej wełnianej sukience i otarła nią oczy - ale nie płakała tak, jak latem 1945. na dworcu we Włodawie. To była chyba jeszcze jedna łezka z wielkiego słonego zbiorniczka wspomnień, ale gdy spostrzegła, że zauważyłem jej chwilowe nadmierne wzruszenie uśmiechnęła się trzpiotowato niby mała dziewczynka, która coś spsočila w domu pod nieobecność rodziców. Zauważyła pogodnie: dziś, *mon cher*, ludzie mówią, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Ale ja jestem w poprzek obiegowym banalnym stwierdzeniem i opiniom, jestem osobna, lecz nie żebym była jakąś zawalidroga na drodze do szczęścia ludzkości. Ja twierdzę, że jednak - *cherchez la femme!* A więc: szukajcie kobiety! Jeśli nie widać jawnej przyczyny jakiejś sprawy. To już niegdyś zauważył pierwszy raz stary pocziwy Aleksander Dumas, i ja mu przyznaję rację - bo wszystko na świecie kręci się przez te złe lub dobre baby. Kręci się to wszystko raz w dobrą, a raz w bardzo złą stronę. I one same to wiedzą, i powinny o tym pamiętać.

Poczynając od łakomej na owoce biblijnej Ewy, przez piękną Helenę i Kleopatę. Wtedy mamy natychmiast do czynienia z przerwana fabułą życia lub komuś urywa się nagle film - tak, jak mnie się może urwać, gdy jeszcze wypiję jeden kieliszek koniaku, ale co mi tam - nałej, *mon ami*, jeszcze kropelkę. Twoja babcia, nie pomyśl sobie, że jest alkoholizką, ale ma po prostu dzisiaj dobry „koniakowy ciąg”, no, i nastrój do wspominków. Połałem po dużej kropelce koniaku, także sobie - myśląc w duchu, że dziś to chyba nie obliczę podatków babci Wiktorii, ale co tam podatki, te zawsze nas dogonia, jak dawno wystawiony weksel - ważniejsze są korzenie i

drzewa rodzinne, te mogą nagle z wiosny przejść w przykrą jesień. Pychota, ta eklerka od Bliklego - zauważyła babcia Wiktoria, głaszcząc się wolną swą lewą ręką w okolicach brzucha - po chwili wzięła do drugiej ręki kieliszek z koniakiem i zaczęła powoli upijać.

Snuć i prząść mam dalej, kochany wnuczku, wątek wspomnień, jak w tej piosence chyba do słów zapomnianego Cieczota z muzyką Moniuszki, snują dawne prządkii? „U przańniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie, przędą jedwabne niteczki” zanuciła zupełnie niespodziewanie babcia i coś dalej, ale zapomniałam, jak to dalej idzie - mówiła. Nie bój się. Nie będę, wnuczku, śpiewała, coś mnie tak nagle naszło, nie wiem dlaczego? To może od trunku i radości, że tu jesteś i chcesz mnie słuchać. Dziś starych ludzi nikt nie chce słuchać, starzy siebie nie słuchają, bo to oczywiste - po co mają to robić, jak przeżyli podobne sprawy i czasy, ponadto coraz mniej ich jest z racji „biologicznych”. A młodych to nudzi - choć na szczęście są chlubne wyjątki, takie jak ty, dzięki Bogu najwyższemu! Kilkanaście lat temu na jakimś sympozjum w paryskiej Sorbonie - francuska studentka z dawnych kolonii, ciemnoskóra Murzynka, zapytała mnie - czy bardzo nienawidzę Rosjan za to, co mnie zrobili na Syberii i moim rodakom w ogóle? Dziś odpowiedziałabym jej krótko - aforyzmem Władimira Wojnowicza, rosyjskiego pisarza i satyryka: „Fajnie jest trzymać swoje sumienie w cudzym ciele”. - Tak powiedziałabym dziś tej studentce, ale wtedy po tym, jak prezydent Rosji Borys Jelcyn przeprosił Polskę za Katyń - mówiłam jej, że historia Rosji przypomina sinusoidę. Raz jest liberalizacja, tendencje wolnościowe, a potem - ba-bach! - trach - odebranie wolności! A wokół trupy.

Car Aleksander I - *oh, la, la!* - liberalizuje, a jego następca Mikołaj I - rach, ciach, ciach - przykręca śrubę. Społeczeństwo zaczyna ledwo dyszeć, słabnąć, po prostu zwyczajnie gnić, więc pod panowaniem następnego cara Aleksandra II znowu przychodzi odwilż, po czym przychodzi Aleksander III i bierze wszystkich za twarz, a właściwie za buzię lub jak kto woli: za mordę. W czasach tzw. sowieckich było

toczka w toczkę to samo. Stalinizm, potem pewna tylko liberalizacja Chruszczowa, w epoce Breżniewa i dalej przykręcanie śrub. I zastój, czyli stojące, cuchnące bajory aż do pierestrojki Gorbaczowa, liberalnych rządów Jelcyna i do rozpadu i katastrofy ZSRR.

Tak się wtedy cieszyłam, że prezydent Rosji przeprosił Polaków za Katyń i nawet udostępnił nam, Polakom, choć niepełne, to jednak ważne dokumenty dotyczące tej ludobójczej zbrodni. Lecz teraz, onegdaj, gdy kilka dni temu przeczytałam w prasie, że plemię dawnych kanibali z Papui-Nowej Gwiney przeprosiło miesiąc temu Kościół metodystów za zjedzenie czterech ich misjonarzy w XIX wieku, to pomyślałam sobie, że jeżeli nawet ludożercy przepraszają za konsumpcję duchownych - to dlaczego nie chce zrobić tego obecny nadprezydent Rosji, Putin, i wydać z archiwum Łubianki dokumenty dotyczące

pięciu tysięcy zabitych polskich oficerów, i ujawnić gdzie spoczywają?

A ci duchowni z Fidżi zostali wysłani na wyspę w 1875 roku przez brytyjskiego pastora Browna, i przez trzy lata namawiali tubylców do wstąpienia do Kościoła metodystów. W 1878. napotkali plemię Tolai. Pierwszy kontakt był zarazem ostatnim: duchowni zostali zabici, ugotowani i zjedzeni. Smacznego! - *mon ami - oh, la, la* przepraszam cię, ale mnie poniosło, i tak mi się jakoś głupio zażartowało - poniżej pasa - oczywiście, to byli najprawdziwsi ludożercy. Lecz z pewnością nie żartował wódz plemienia Tolai, przepraszając przedstawiciela władz Fidżi za czyn swoich przodków sprzed 132 lat. Przeprosiny zostały przyjęte, a ceremonii przeprosin przyglądały się tysiące mieszkańców Papui, więc proszę, jak się chce przeprosić, to można przeprosić, nawet za dość dawne, zawsze jednak nieprzedawnione



📷 Paweł Zochowski

ludożerstwo!

Ja wtedy na paryskiej Sorbonie mówiłam jeszcze tej murzyńskiej francuskiej studentce, że jestem daleka od nienawiści do Rosjan, których jako ludzi szanuję i nawet lubię, jak Słowianka Słowian, i którzy w czasie mojej gehenny na Syberii bardzo pomogli mi przetrwać. Byli to ludzie prości, szczerzy, o otwartym sercu i głowie. Tam zawinił system komunistyczny, który posiany na glebę biedy i rozpacz wydał takie tragiczne owoce. Problemem jest to, że nie wszyscy jednakowo pamiętają. Inna jest pamięć zająca czy sarny, a inna myśliwego. Jeszcze inna tych, którzy bez mrugnięcia okiem korzystają z przyniesionych przez niego na stół zdobyczy. Lecz nieomal całe społeczeństwo rosyjskie nie ma świadomości własnych zbrodni. A przecież jesteśmy ssakami z elementami ducha, choć tak prawdę mówiąc - myślę, że nie wszyscy posiadają te znamiona. Lecz skoro Bóg stworzył wszystko, to człowiek powinien być spójny charakterologicznie, bo przecież został stworzony na podobieństwo samego Pana Boga.

Rosjan kulturę szeroko pojętą - podziwiam. Uwielbiam powieści Tolstoja, Dostojewskiego, kocham sztuki i opowiadania Czechowa, poezję od Puszkina do Achmatowej i Brodskiego. Odpowiada mi wisielczy humor i siermiężny żart Sałtykowa-Szczedriny oraz *12 krzesel* i *Złote cięło* Ilfa i Pietrowa. Kupiłam i słucham całe mnóstwo płyt z bardami rosyjskimi: Biczewską, Okudźawą i Wysockim. Aha, och! *A propos, mon cher*, Włodzimierza Wysockiego - gdybyś tylko chciał, to mogę ci podarować kilka płyt CD z piosenkami Wołodii Wysockiego w jego wykonaniu, gdyż mam komplet dublujących się egzemplarzy, więc cóż, zgoda?

Jesteś kochana, babciu - podziękowałam za podarunek, lecz wiesz, jak tak sobie myślę - o tym, co mi przed chwilą mówiłaś, że twój brak jakichkolwiek roszczeń moralnych i pretensji do Rosji ma głębsze podłoże - jest to podłoże chrześcijańskie. Coś jak apel polskich biskupów do biskupów niemieckich, owo pamiętne: „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie”! To jest europejsko-chrześcijańska istota rzeczy. Ale, *life is brutal and full of zasadzka*s - że tak - po-

wiem szyderczo po angielskiemu, i nie wiem, co potrzeba by zrobić, ażeby sam prezydent Putin wyksztusił z siebie - *spasiba* oraz wygrzebał z archiwum KGB na Łubiance listy i dokumenty pomordowanych polskich oficerów? Przyjmę z ochotą od ciebie, babciu, i z wdzięcznością płyty Wysockiego, a tak na marginesie w ogóle: gdy słyszę to nazwisko, wówczas mam natychmiast w związku z nim potrójne skojarzenia. Pierwsze skojarzenie, to oczywiście Piotr Wysocki, instruktor w warszawskiej Szkole Podchorążych Piechoty i przywódca spisku, który doprowadził do wybuchu Powstania Listopadowego, a za karę skazany został przez carat na 20. lat Sybiru. Na którym odcierpiał prawie 18. lat. Drugie skojarzenie związane z tym nazwiskiem, to naturalnie rosyjski poeta, pieśniarz i aktor, wspomniany Wołodzia Wysocki. Trzecie skojarzenie, to również Piotr Wysocki, ale nie ten przywódca z Powstania Listopadowego, lecz mój kolega z liceum w Aninie pod Warszawą.

Ten „mój” Piotr Wysocki również, jak jego słynny imiennik - mówiąc eufemistycznie i delikatnie, nie lubił Rosji, a dokładnie Związku Radzieckiego, bo było to w drugiej połowie lat 60. XX wieku. Jego neutralność i niechęć do sowietów objawiała się w postaci bojkotowania języka rosyjskiego. Nie byłoby w tym nic groźnego, nawet w czasach późnego Gomułki w Polsce, gdyż miliony Polaków nie cierpiało Ruskich, lecz bojkot języka rosyjskiego - sam w sobie niewinny przecież - był groźny dla mego kolegi, Piotra Wysockiego. Jak pamiętam, przez całą dziewiątą i dziesiątą klasę w liceum anińskim kolega Piotr Wysocki nie ukrywał swojej głębokiej niechęci do języka Puszkina i Lermontowa, ale i zbrodniarzy Berii i Stalina. Demonstrował tę swoją głęboką niechęć do języka rosyjskiego i sowietów w ogóle unikając lekcji tego pięknego języka, ale trzeba jednocześnie przypomnieć, że owe lekcje były przymusowe.

Można było sobie, owszem, wybrać w liceum anińskim drugi język obcy, na przykład: angielski, francuski czy niemiecki, a nawet dodatkowo jako trzeci język łacinę, lecz pierwszy język obcy - przymusowo - był

językiem rosyjskim. A gdy uczeń nie zaliczył go co najmniej na marną tróję - nie otrzymywał promocji do następnej klasy. Co takiego robił kolega Wysocki i jak unikał lekcji języka rosyjskiego? Tak się jakoś dziwnie składało, że nasza klasa lekcje z tego przedmiotu miała zawsze w grafiku albo jako pierwsze, albo jako ostatnie danego dnia. Kolega Wysocki w związku z tym planem lekcji nie przychodził na pierwszą lekcję, albo uciekał z ostatniej lekcji w dniu, kiedy w planie dnia akurat był rosyjski, a było to dwa razy w tygodniu. Lecz w końcu musiał się kiedyś objawić i przyjść na zniechęczone zajęcia.

O, to osobny wątek, bo wtedy profesor Ławrynowicz - nauczyciel języka rosyjskiego, odczytując listę obecności przy nazwisku Wysocki głośno wykrzykiwał: „Jakiż zaszczyt nas dziś spotkał, proszę państwa, co za wspaniały dzień i niebywałe szczęście, o którym krede w kominie trzeba by zapisać - trafienie szóstki w Toto-Lotka, to przy tym betka - bo złożył nam wizytę towarzysko-kurtuazyjną pan Wysocki! Co się z panem działo, gdy pana nie było - stęskniliśmy się za panem? Może nie wszyscy nawet stęsknili się w równym stopniu za panem, ale sądzę, że najbardziej stęskniła się za panem gramatyka rosyjska. Co u pana słychać i gdzie się pan podziewał, gdy pana nie było - na przykład tydzień temu - kiedy nie zaszczycił pan swoją obecnością mojej ostatniej lekcji?”. Kolega Wysocki stojąc przy ławce zaczynał wyjaśniać profesorowi Ławrynowiczowi powód swojej ostatniej nieobecności na lekcji przy akompaniamencie porykiwania całej klasy. A właściwie gromkiego, nieskrępowanego niczym śmiechu.

Usprawiedliwienia swoich nieobecności na lekcjach rosyjskiego kolegi Wysockiego bywały różne, lecz można śmiało powiedzieć, że monotematyczne i to był jego błąd. Nie posiadał bowiem, jak byśmy dziś określili, wyobraźni do konfabulacji, no, po prostu, powiedzmy po ludzku, że zwyczajnie chłopak nie umiał kłamać. Mawiał: „ja nie mogłem być na lekcji rosyjskiego w ubiegły wtorek, bowiem umarła nasza sąsiadka z III. piętra -bardzo, bardzo z moją

rodziną zaprzyjaźniona - i w związku z tym tragicznym wydarzeniem byłem na jej pogrzebie” - tak usprawiedliwiał dla przykładu kolega Wysocki swoją nieobecność na lekcji języka rosyjskiego. Pogodna dotychczas twarz profesora Ławrynowicza po takim usprawiedliwieniu przybierała wyraz smutku i współczucia dla ucznia Wysockiego - składał kondolencję od siebie i klasy koledze Wysockiemu i prowadził lekcje dalej. Lecz my, uczniowie, koledzy Wysockiego, w ogóle nie wyglądaliśmy na pogrążonych w smutku i nieutulonych w żalu -wprost przeciwnie - zarykiwaliśmy się do rozpuku. Profesor Ławrynowicz zdawał się nie dostrzegać reakcji klasy - przywracał porządek i prowadził lekcje tak, jak gdyby nigdy nic.

Był to człowiek charakteryzujący się swego rodzaju słowiańską wewnętrzną pogodą ducha i wyrozumiałością dla ludzi - tolerancyjny i mądry. Mądry mądrością życiową, jaka jest udziałem nielicznych, uzupełniona ponadto wiedzą pochodzącą z gruntownego wykształcenia. Pochodził z Kresów wschodnich, gdzieś z Wileńszczyzny - miał za sobą jakieś walki o Polskę, prawdopodobnie w oddziałach 27. Dywizji wileńskiej AK, ale tak, jak to było w tych czasach, chyba się tym nie chwalił nadmiernie, a może nawet nikomu, a czego nie trzeba, nie mówił.

Lecz wracam do kolegi Piotra Wysockiego. Otóż, gdy któryś kolejny raz usprawiedliwiał się profesorowi Ławrynowiczowi i jako powód swojej nieobecności na lekcji języka rosyjskiego podał nagłą śmierć i pogrzeb sąsiada czy sąsiadki z kamienicy, w której mieszkał - profesor Ławrynowicz nie wytrzymał i przy akompaniamencie tubalnego śmiechu całej klasy podzielił się z nami swoimi przemyśleniami na temat kolegi Wysockiego. - „Zapada noc - zaczął profesor Ławrynowicz i mówił dalej - w oknach domów zapalają się, co jest oczywiste, światła, bo przecież ludzie żyją, a jak żyją to przygotowują kolację. Niektórzy słuchają radia lub oglądają telewizję. Inni nawet, ale to chyba bardzo nieliczni, czytają książki przy lampce nocnej, zaś młodzież odrabia lekcje. A pewna starsza dama może i dzierga na drutach szalik dla wnu-



Erwin Policha

ka, gdy na jej kolanach siedzi kotek i wymrucza jej miłe kocie serenady. Fabryki o ruchu ciągłym pracują w nocy pełną parą dla pomyślności naszej ludowej Ojczyzny. Taki jest obraz i pejzaż bohaterskiej stolicy Warszawy Anno Domini 1967. Na tym urokliwym obrazie stolicy, jest tylko jedno pęknięcie, otóż miejsce budzące niepokój, przerażenie i strach. Ba! Powiedziałbym - prawdziwe zatrwożenie, a jest to czteropiętrowa kamienica, w której mieszka Piotr Wysocki. Gdyż, kiedy zapada noc i wszędzie wokół w oknach bloków i domów jednorodzinnych palą się światła, to w tej czteropiętrowej kamienicy pali się światło jedynie w jednym mieszkaniu, tam gdzie mieszka Wysocki. Reszta okien strąszy przechodnia czarną głęboką czeluścią - może nawet przepastną otchłanią śmierci. Bo lokatorzy tych mieszkań zmarli śmiercią nagłą, a więc jeśli nagłą, to niespodziewaną, co jest same w sobie logiczne lecz i prawdziwie tragiczne! Tak więc, gdy kiedyś zdarzy wam się, kochani, iść przypadkowo ulicą w nocy i zobaczycie z oddali czteropiętrowy dom, w którego

oknach pali się tylko jedno światelko, to będzie nieomylny znak, że mieszka tam z pewnością uczeń Piotr Wysocki”.

Tak profesor Ławrynowicz z nieodłączną pogodną ironią opisał nam tragizm sytuacji w jakiej znalazł się nasz kolega Wysocki i cała klasa tak to właśnie odczytała - to była ironia z naciskiem - na zdemaskowany humor. Profesor Ławrynowicz sarkastycznie i dowcipnie tę kiepską tragedię przemianował na zabawną i pouczającą farsę w dobrym stylu. Nawiasem mówiąc, od tego już czasu - a była to chyba dziesiąta klasa licealna - kolega Wysocki nie opowiadał już nigdy więcej o przerwanych fabułach życiowych swoich sąsiadów i jakby nożem uciął, tak, skończył z niewprawnymi konfabulacjami. Przychodził grzecznie na wszystkie lekcje języka rosyjskiego i zdał maturę w przewidzianym czasie. Obecnie, o ile wiem, mieszka w USA i w Kanadzie, gdzie jest znany profesorem kardiochirurgii. Wykłada też na Yale i na Howard University. Wniosek i morał z tej opowieści płyną takie, że żartem, kpina, łagodną, inteligentną ironią można więcej osiągnąć z ludźmi niż nakazami, krzykiem i poszturchiwaniem w bok. Można więc ich ładnie z humorem zawstydzić gdyż śmiech ma większą „siłę rażenia” niż największego kalibru armaty i tyle poręczna, ile prostacka nahajka. Lecz trzeba mieć w sobie to, co Francuzi nazywają jednym słowem - *esprit*.

Bogu dziękuj, *mon ami*, że miałeś takich nauczycieli, jak profesor Ławrynowicz - podsumowała moją opowieść babcia Wiktoria, i nie byłaby sobą, aby coś do niej nie dodać, a właściwie zamknąć i dowcipnie podsumować owo moje licealne wspomnienie. Przypomnił mi się, mój drogi, żart po twojej opowieści o profesorze Ławrynowiczu i uczniu Wysockim - dziś już też profesorze - zaczęła mówić babcia. Otóż, wyobraź sobie biuro, w którym szef poważnie pyta młodego pracownika - czy wierzy pan w życie po śmierci? - Tak, naturalnie, proszę pana - odpowiada młody pracownik. - W takim razie wszystko w porządku - odpowiada szef. - Po tym, jak wczoraj wyszedł pan wcześniej z pracy na pogrzeb babci, wpadła tutaj, by pana zobaczyć!

Należy tylko żałować, że do profesora Ławrynowicza nie wpadł któryś ze zmarłych sąsiadów ucznia Wysockiego, by zobaczyć tego kłamczucha! - Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, i stare szkolne zakłęcie - paluszek i główka, to szkolna wymówka - było, jest i będzie jeszcze długo użyteczne. Mnie na przykład najbardziej zdumiało w USA i w Anglii to, że uczniowie tam w ogóle nie ściągają od siebie i nie podpowiadają sobie. Tak, jak się dzieje w Polsce. Może ten fakt ma jakieś ważne przełożenie na ich późniejszą uczciwą i godną postawę życiową? Zaraz muszę wstać od stołu i wziąć się za obiad, kochany wnuczku, ale zanim to zrobię, to jeszcze chcę małym słówkiem odnieść się do tego, co powiedziałeś o Rosji, i już mnie nie ma! Idę do kuchni, gdzie jest najwłaściwsze miejsce dla każdej kobiety. Lecz również te słowa babci nie zabrzmiały jednak całkowicie poważnie.

Niedawno wpadła mi do ręki książka o Rosji, w której przeczytałam nieznana mi wcześniej opinię Lenina, wygłoszoną wkrótce po odepchnięciu wojsk bolszewickich z ziem polskich w 1920. Zanotowałam ją sobie tu, w swoim zeszytiku dla potomności, i zacytuję ci ją teraz, bez troski o precyzję. Oto ona: „Im silniejsza Polska będzie, tym bardziej nienawidzić ją będą Niemcy, a my potrafimy posługiwać się tą ich niezniszczalną nienawiścią. Przeciwnie Polsce możemy zawsze zjednoczyć cały naród rosyjski i nawet sprzymierzyć się z Niemcami”. Czytając te słowa założyciela Związku Radzieckiego można teraz zrozumieć, że dały one „fundament” i judaszowską podwalinę pod IV rozbiór Polski, czyli układ Ribbentrop - Mołotow w 1939. Należy też przypomnieć, że Lenin, choć wiecznie żywy, z grona naprawdę żywych odszedł w styczniu 1924. Te słowa i daty dają dużo do myślenia, do myślenia nam, Polakom, oczywiście. Czy kładzioną obecnie gazowa rura pod Morzem Bałtyckim - na czym zresztą się nie znam - nie jest pokłosiem słów tego „wiecznie żywego”?

Lecz zostawmy rurę gazową w spokoju. Teraz młodzi mężczyźni, tacy jak ty, *mon cher*, są zainteresowani raczej taką rurą, na jakiej

tańczy nie całkiem ubrana (a raczej całkiem rozebrana, ze względu na „przyczepność”) panienka. Już całkiem na koniec opowiem ci, wnuczku, o „Hipotezie Owłosienia”, która całkiem udanie dowodzi i przekonuje, że Rosją rządzą na zmianę łysi i owłosieni. Wszyscy łysi byli romantykami i utopistami, z kolei owłosieni pragmatykami i konserwatystami. „Wiecznie żywy” Lenin był utopistą, tak jak Chruszczow i Gorbaczow. Jednak romantycy - pomijając owłosionego Stalina, byli o wiele gorsi od cyników. Dlatego, że romantycy są fanatyczni - na przykład dzisiejsi terroryści islamscy wysadzający siebie i innych wokół - są przecież także swego rodzaju romantykami! Czy dzisiaj prezydenta Putina można uznać za „łysiejącego utopistę”? Pożyjemy - zobaczymy! Ważny również cudysłów! Najgorzej, gdyby się okazało, że jest on łysym pragmatycznym utopistą. W psychiatrii tacy osobnicy określane są chyba jako schizofrenicy? Ale - co tam - bogów na świecie stworzył naprzód strach! Tak, tak, wiem - *passons au deluge* - „przejdźmy wreszcie do Potopu” - skracaj się na miłość boską, pani, zwięźlej mów, madame Wiktorio!

Już idę do kuchni gotować obiad, który prawdę mówiąc, to mam przygotowany od wczoraj, lecz już tak naprawdę na koniec - jak Boga kocham! - obwieszczę ci niniejszym - „Teorię Ciepła Wiktorii”. Niech ta teoria będzie nawiązaniem, paralełą do tego wskaźnika giełdowego nazwanego nie od nazwiska piosenkarza Toma Jonesa, tylko od imienia jakiegoś innego pana, o którym mi dziś mówiłeś. Pamiętasz chyba, *mon cher*, jak na początku naszej rozmowy opowiadałam ci o remoncie naszej żoliborskiej kamienicy, i o kaloryferach, które raz grzeją, a innym razem za Boga jedyne - nie grzeją. Żeby nie wiem co się stało, nie chcą i już. Otóż, mają te kaloryfery szczególną cechę, że raz grzeją jak oszalałe, więc trzeba je nawet regulatorem przykręcać - wtedy, gdy rządzi Polską prawica. Natomiast zimne są, jak „zimne nóżki” z lodówki, gdy Polską rządzą postkomuniści. Ja ową prawidłowość odkryłam już jakiś czas temu, lecz jest tak absurdalna, że wstydzi-

łam się o tym mówić komukolwiek - poza tobą, teraz.

Gdybym opowiedziała to komuś z poza mojego kręgu rodzinno-towarzyskiego - wysłano by mnie do wariatkowa i pewnie miano by własne, acz znakomicie bezosobowe po temu racje. Lecz na własny użytek - między nami mówiąc, stwórzmy „Teorię Ciepła Wiktorii”. Będzie ona w oparciu o wskaźnik ciepłoty moich kaloryferów wskazywać poziom nastrojów i napięć społecznych w naszej Polsce. Będzie to wskaźnik Wiktorii badający stan realizacji marzeń życiowych Polaków. - Niestety, babciu, wszedłem w słowo babci Wiktorii - możesz badać tym wskaźnikiem nastroje i „realizację marzeń” rodaków tylko w zimie. Na wiosnę, latem albo w czas polskiej złotej jesieni -nie masz do badania takiego instrumentu, takiego, hm

- wskaźnika, bo wtedy kaloryfery nie grzeją... Pozostaje ci tylko barometr, termometr i wyniki badań opinii publicznej.

Excuses-moi, babciu!

Ależ właśnie, *a propos de bottes* - coś na temat butów, czyli trochę bez związku z głównym tematem, choć może nie do końca. Przepraszam, że ci chcę wejść z owymi „butami” w twoje osobiste sprawy domowe, ale powiedz mi szczerze - kiedy to ostatnio była u ciebie sprzątaczką, pani Mela? - Ona przychodzi raz w tygodniu na dwie-trzy godziny, co czwartek, i jest to dla mnie zawsze „tłusty czwartek”, gdyż wcinamy prawie zawsze pączki, które ona kupuje w świetnej cukierni na swoim osiedlu, ale ja zwracam jej za te słodkości pieniądze. Pewnie dla mnie zdrowiej byłoby dla ciała i ducha, gdybym uczęszczała zamiast na tłuste czwartki, to na jakieś „Czwartki literackie”, takie jakie były u ostatniego naszego króla-Stasia. Lecz po co właściwie tak po próżnicy, o literaturze gadać, czy nie lepiej po prostu ją czytać w zaciszu domowym? Pani Mela to jest niezwykle pracowita niewiasta, czyściocha, że aż do przesady - nieraz muszę nieomal ją powstrzymywać od roboty, gdy zacznie sobie szaleć z odkurzaczem, ścierką i laptopem.

Z mopem, poprawiłem babcię Wiktorię, a ona uśmiechnęła się znów tak miło, z wdzięcznością. Może i ja powinienem wykazać się wdzięczną wyrozumiałością dla sprzątaczk, pani Meli, lecz nie byłem tak wyrozumiały - wykrzykując nagle do babci Wiktorii - *Oh, par exemple, l'araigne!* - Jaki przykład, jaki pajak, gdzie pajak? - zapytała zdziwiona, zaskoczona babcia. - Tam, nad regał z książkami, niczym dawna przodownica pracy - prządka łódzka - uprządl sobie całkiem pokaźną pajęczynę. Dobrze mu tam chyba i zacisznie, bo nikt mu nie przeszkadza i nie niepokoi go niepotrzebnie, a sądząc po rozmiarach jego solidnego, sporego ulotnego pajęczego domku, jest tam od dłuższego czasu. Jeśli mógł zbudować takich rozmiarów siedzibę o wielkości cielącego sznycła wiedeńskiego, jaki ze smakiem jadłem tydzień temu w stolicy Austrii, który też, jak ta pajęczyna był delikatny, panierowany i o podobnej wielkości...

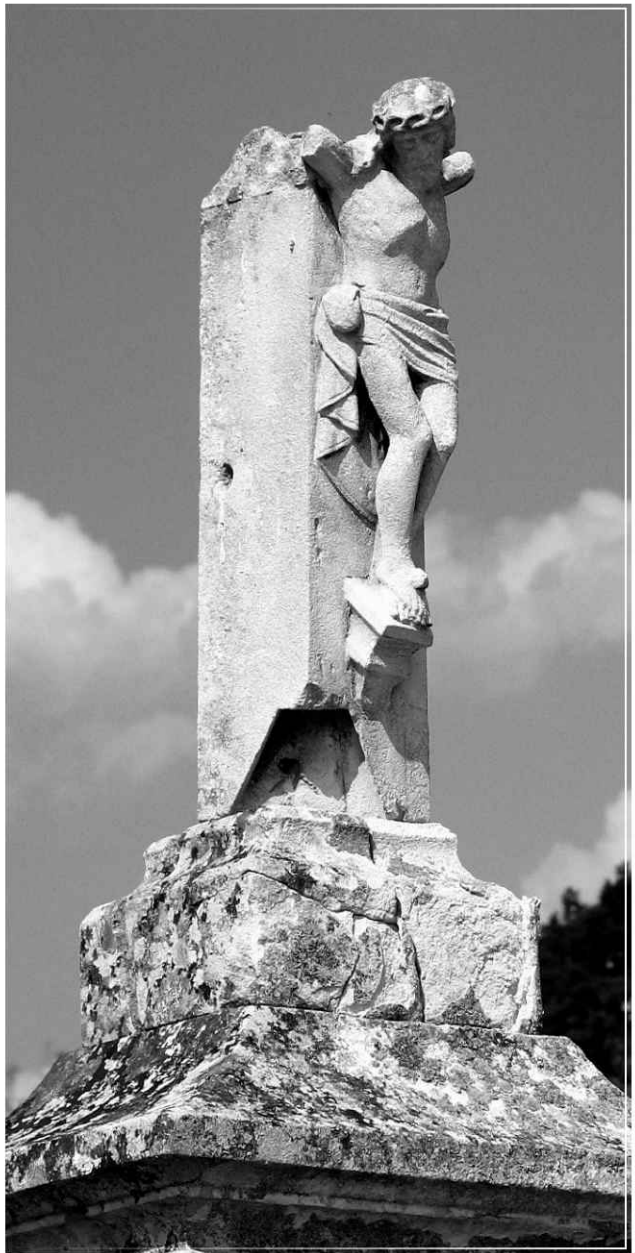


 Dariusz Hankiewicz

Excuses-moi, babciu - o wielkości klapy od sedesu! Mówiłaś mi, *oh, ma chérie*, o swojej „Teorii Ciepła Wiktorii” - ciągnąłem swoją wypowiedź, śmiejąc się już prawie przez łyzy - ja wytknąłem ci jej słabe strony oraz, że w miesiącach letnich czy wiosennych - nie będziesz miała instrumentu do zmierzania realizacji marzeń Polaków, bo kaloryfery wtedy nie grzeją... Lecz jest wyjście z tej patowej sytuacji - to będzie - nić Ariadny-Wiktorii! Ona będzie wskaźnikiem - wartością określającą jakieś zjawisko. A ty, babciu, niczym Ariadna, córka króla Krety, zamiast, jak ona pomagać Teze-uszowi wydostać się z labiryntu, dając mu kłębek nici do znaczenia drogi, ty, babciu skorzystasz z nici, z kłębka, a właściwie z pajęczyny pajaka, który spokojnie mieszka nad twoim regałem z książkami. Będziesz jak Ariadna depozytariuszką kłębka nici pajęczej do znaczenia drogi powrotnej z labiryntu, w jakim znalazła się Polska.

Lecz chcę cię tak w ogóle pocieszyć, babciu, w dzisiejszej prasie przeczytałem, że sondaże wskazują, iż Polacy są coraz bardziej bogaci i zadowoleni z życia. To napawa optymizmem - prawda? - Może i prawda - zależy kto, dla kogo, robił ten sondaż, kto, komu, dlaczego i kiedy go zlecił, i kto za niego zapłacił, mruknęła niechętnie, już wychodząc z pokoju do kuchni babcia Wiktorja, lecz nagle zatrzymała się w drzwiach, znieruchomiała - wyprostowała dumnie, stanęła na baczność i jakby deklamując wiersz jakiegoś naszego wieszczka na akademii szkolnej - wyrecytowała w tonie nieco podniosłym: ja w życiu bardzo się już wymarzałam - na przykład przez pięć lat na Syberii. Na szczęście nie zamarzło mi tam serce. Dlatego dla mnie sezon grzewczy trwa cały okrągły rok, a bogaci, kochany wnuczeku, to są ci, którzy na kogoś czekają. Ja jestem dla przykładu bardzo bogata, gdyż ja zawsze czekam na ciebie, twoich rodziców, moją córkę, moich przyjaciół. Niektórzy są żebrakami z pieniędzmi, którym nikt nie chce dać żadnej jałmużny ze swojego serca...

A powiem ci jeszcze, kochany wnuczusiu, że tak naprawdę to wewnątrz człowieka, czyli dusza, czyni ludzi bogatymi. Wnętrze



📷 Grażyna Hankiewicz

można rozumieć także jako pomieszczenie, na które składają się meble, tkaniny, obrazy, książki, kwiaty, witraże oraz pajak w misternej sieci pajęczyny. On jest moim żywym *panneau* - tkaniną dekoracyjną - wypukłą lub wklęsłą płaszczyzną ścienną, w zależności od pogody, pory dnia, mojego samopoczucia - a więc od tego, czy *Le regard eloigne*, czyli moje spojrzenie z oddali nie zachodzi zανάδτο zaćmą lat na me stare oczy.





JACEK PIOTROWSKI

galopujące drzewa

(wg obrazu Sylwii Góry)

pęd
pędów
pni
pienie
szczęk
sęków
i rzenie
korzeni

Fraszka o czasie na czasie

Bywało czasem, i nie raz,
że ktoś mnie spytał: Czy masz czas?
Mijały lata jak we śnie;
teraz to raczej czas ma mnie!

* * *

Pewien poeta, co z wierszy słynał,
pisał: *Gdybym był młodszy, dziewczyno!*

Mój los na razie znacznie jest słodszy,
bo ja, Dziewczyno, ja
jestem młodszy!

walec drogowy

Ciężki ogromnie, wielki, stalowy
przejechał po mnie Walec Drogowy.
Staął, zawrócił na jednej nodze,
potem się smętnie zadumał srodze
i na dywanik u stóp usłany
patrzac, wyszeptac:
Wybacz, kochany!

Limeryki

Pewien mim z podkrakowskiej Skawiny
Zawodowo robił głupie miny.
A że przy tym swawolił,
W końcu jedną spartolił
I wybuchła bez widocznej przyczyny.

W małym mieście Biegonice
Poplątane są ulice.
Gdy przebiega stado słoni,
Nigdy nie wiesz ciebie goni
Czy może inną dziewczicę.

Spytał kogoś pielgrzym koło Kostrza:
Czy do Kostrza prosto, czy na skos trza?
Ten mu na to odrzecze:
Idźże na skos człowiecze,
Bo do Kostrza to droga najprostsza.



Axis Art Project



VALDENS

W TAKĄ CISZĘ

- Zostaw! - krzyknęła Kasia, ale pilot był już w mojej ręce.
- Co zostaw? - odburknąłem przełączając na dwójkę.
- Dawaj go!
- I w tym momencie nasze dłonie zetknęły się na pilocie. Jakże obrzydliwy był to dotyk, i jak nie na miejscu - jak zetknięcie szczura z ropuchą. Pomyśleć, że trzy lata wcześniej marzyłem o tym, by podała mi dłoń.
- Odpuściłem. Natychmiast wyrwała mi pilota z ręki i z powrotem przełączyła na Polsat. Akurat kończyły się reklamy.
- Jak chcesz oglądać mecze, to sobie kup telewizor... - A potem zaczęła wypominać, że ten jest jej i tak dalej.
- Telewizor rzeczywiście był jej, bo wzięła go z domu, ale ani pralki, ani kuchenki, ani lodówki nie wzięła z domu. Ja to wszystko kupiłem, a ona korzystała!
- Kurwa, no i ten serial dla idiotek! - Właśnie się zaczynał.
- Sam jesteś idiota, pijaku! Umyj sobie zęby, jak do mnie mówisz.
- Spierdalaj! - I wyszedłem do przedpokoju.
- No. I idź sobie pograć w te swoje gierki, dzieciaku. - Dościęgnęło mnie szyderstwo na progu drugiego pokoju.

Na ten akurat mecz kupiłem sobie trzy piwa - Warka Strong. Teraz w siatce były już tylko dwa. Wydawać by się mogło, że już i tak nie potrzebne, ale nic bardziej mylnego. Na takie nerwy przydałyby się jeszcze ze dwa albo trzy więcej - co najmniej. I tak właśnie, powolutku, wpadałem w alkoholizm.

Włączyłem komputer. Nic innego mi nie pozostało. Butelka i komputer - jedynymi przyjaciółmi - od kiedy żona stała się wrogiem. A kiedy się stała? Nie dziś, nie wczoraj. To działa się stopniowo.

Myślę, że zaraz po ślubie, kiedy w naszym M2 zaczęła kręcić się pralka, kiedy lodówka

zaczęła świecić pustkami, a kosz pod zlewem śmierdzieć śmieciami - proza życia.

Nie to jednak było najgorsze. Najgorszy był brak dziecka, które miało się przecież pojawić najdalej rok po ślubie. Tymczasem mijał już drugi rok i nic. Zaczynały się docinki o moją męskość, a w odpowiedzi na to, równoprawne przecież, wątpliwości co do jej kobiecości.

Tak oto spirala nakręcała się i oddalała nas od siebie. Nie było już najmniejszych szans na dziecko. No chyba, że z kimś obcym.

Mało tego - nie było nawet widoków na psa. Nawet najmniejszego kundla. Mam alergię, więc znów moja wina.

Otworzyłem piwo, włączyłem komputer i kliknąłem w ikonę gadu-gadu.

Ja> czesc kika

Kika> hej dziubku



 Marek Jawoszek



Miroslaw Kockodaj

Ja> masz jakieś plany na dziś?

Kika> hmm raczej nie. a co?

Ja> może byśmy się spotkali?

Kika> na żywo!??

Kika> a co ci się stało!?

Ja> nic się nie stało. jest piątek

Kika> no ale hmm... ale dziś? musiałabym no
wiesz...

Kika> ale mnie zaskoczyłeś!

Kika> :)

Ja> to jak?

Sięgnąłem po piwo i zanim wziąłem łyka...
zgasło światło! W jednej chwili zrobiło się
cicho i zupełnie ciemno.

– Ocho - usłyszałem głos Kasi z „dużego”
pokoju. - Światło wyszło.

Odstawiłem piwo po omacku na biurku i
wstałem.

– I to chyba na całym osiedlu - kontynuowała
żona, wyglądając przez balkonowe okno.

– Darek, w kuchni są chyba świece. Ale ty i tak
ich nie znajdziesz.

A ja byłem już w kuchni, już ich szukałem, i
rzeczywiście miałem dość mroczne
pojęcie, gdzie one mogą być.

Podjeżdżałem, że w którejś z szuflad przy
kuchence, bo tam je kiedyś widziałem i
tam właśnie próbowałem je wymacać.

Kasia już stała koło mnie i także szperała w
szufladach. I wtedy nasze dłonie spotkały
się, znów się spotkały i byłoby tego już za
wiele, gdyby nie to, że TEN dotyk był
jakiś... inny.

Trzymałem rękę na jej dłoni, a ona trzymała w
niej świecę.

– Pierwsza! - wykrzyknęła radośnie,
przysiągłbym, że głosem sprzed trzech lat.
Dotyk trwał za długo, podejrzenie, więc
odsunąłem rękę.

Strzelił zapalnik, rozpalil gaz w kuchence. Od
niego Kasia odpaliła świecę. Że też
wcześniej nie pomyślałem, żeby włączyć
palnik! Wtedy nasze ręce nie spotkałyby
się... Człowiek traci rozum, kiedy znika
elektryczność!

Staliśmy naprzeciwko siebie, długo - za długo
jak na zwykłe okoliczności. Myślałem, czy
świeca, która płonęła teraz między nami,
przywodziła jej na myśl to samo, co mnie.
Ja myślałem o ognisku, na którym się
spotkaliśmy pierwszy raz. Wtedy ogień,

który dzielił nasze spojrzenia, był dużo większy, ale ten blask w oczach jakże podobny!

– I co teraz? - szepnęła.

– Co teraz?

– Nie mamy drugiej świecy. Będziesz siedzieć po ciemku?

– A może ty...

– O nie, mój drogi...

– Wiem, wiem, ty kupiłaś świecę - zażartowałem ironicznie.

Kasia wybuchła śmiechem.

– Chodź do pokoju. - zaprosiła po chwili.

I podążyłem jak cma za światłem, przedziwnie wesoły i niezwykle pijany, jak na jedno piwo - nawet jeśli reklamuje się je, jako „mocne”.

Usiedliśmy razem, przy szklanym stoliku. Kasia ułożyła ręce na kolanach i westchnęła. Pewnie i jej w głowie kłębiły się teraz pytanki i niewiadome: „O czym tu teraz rozmawiać? Czy siedzieć i nie rozmawiać? Czy głupia świeca to powód, by rozmawiać?”

– Mam pomysł - rzuciłem.

– Pomysł?

– Tak. Tylko się nie śmiej - ostrzegłem niby groźnie.

Już zaczęła się śmiać.

– Nie śmiej się. Obiecuję.

– Ok, ok. Nie będę - zapewniła.

Wyszedłem do przedpokoju. Po omacku otworzyłem dużą szafę i zagłębiłem się w jej wnętrzu. Po chwili stanąłem na progu pokoju z gitarą w rękach.

Kasia parsknęła, ale natychmiast zakryła usta ręką i przestała. Pamiętała, co obiecała. Spoglądała teraz to na mnie, to na gitarę.

– Poczekaj. Ja też mam pomysł - odezwała się w końcu. Chwyciła świecę wraz z talerzykiem, na którym była przyklepiona, wstała, weszła na środek pokoju i ustawiła talerz na dywanie.

– Siadaj. - Uśmiechnęła się i ukucnęła na ziemi.

– I zaśpiewaj mi. Znowu zakryła usta dłonią, ale raczej nie śmiała się.

Chwilę później pudło rozbrzmiało dźwiękami strojenia, a kiedy wszystko już było w porządku, poszedłem po piwo - dla żony i

dla mnie - i zaczęło się. Lady Pank, Led Zeppelin, Perfect...

– A teraz.... - zaczęła kombinować, kiedy skończyłem grać *Nie płacz Ewka*. - Hmm... nie wiem... O! Wiem... Teraz: *W taką ciszę*. - Podskakiwała na dywanie niczym mała dziewczynka. - No weź...

Nie widziałem problemu.

– *Nie o uśmiech mi chodzi
Bo się śmiałaś nie raz
Ale o to, co kiedyś otworzyło się w nas*

*Coś co przyszło tak szybko
I przeszło jak wiatr
Czego właśnie najbaardziej mi brak...*

Przerwałem na łyk piwa.

– Ej! Daleeeee! Ej!!! - krzyczała. - W taką... ciszę... - śpiewała.

– Śpiewaj, co dla mnie zrobisz!

Odstawiłem piwo i znowu chwyciłem gitarę.

– *W taką... ciszę... wszystkie gwiazdy na nieciebie
wyliczę
Ciebie... wołam... ale cisza i pustka dookoła.*

– Ojej - wymówiła, gdy skończyłem. - Wiesz co Darek?

– Co?

– Jeszcze raz. Od nowa. Proszę.

I poszło od nowa. Tym razem śpiewaliśmy już razem:

– *W taką... ciszę
Wszystkie gwiazdy na nieciebie wyl...*

I wtedy zapaliło się światło, włączył się telewizor, a w drugim pokoju zaskrzeczała drukarka. Gitara brzmiała głupio.

Przerwałem.

Kasia wstała, wyprostowała się i przetarła oczy. Podeszła do stolika, wzięła pilota... wyłączyła telewizor i zgasiła światło.

Trzydzieści trzy tygodnie później przyszedł na świat Damian - nasz syn.





MAŁGORZATA ŻURECKA

dogonić czas

jestem cyfrowym imigrantem
data urodzenia:
sprzed rewolucji cyfrowej
uczę się nowego języka
rytuału i protokołu
w połowie drogi
do Pokolenia Kciuka
cyfrowych tubylców
wyrażających odruchowo emocje
kliknięciem klawisza
zapisujących miłość
w formacie sms

prześnić kocim kłębkim
na piecu wieczności
udając
że nie ma
ostateczności

Już nie tak
jak kiedyś cieszą
deszcz zmorą
śnieg przekleństwem
liść śmieciem
słońce szkodliwym promieniowaniem
nawet róże pachną sztucznie
życie jest serią wypaczeń



PIOTR BINKOWSKI

układy

kawał dobrej poezji kiwasz głową z
uznaniem

z ciebie też niezła sztuka
znasz wiele słów i wiem że lubisz
rozkładać się na językach i wchodzić do
głowy
przy tobie wszystkie tomiki gubią
znaczenie

oboje jesteśmy niepoprawnie zdolni to
prawda
odkąd nie możemy się rozejść każdy
widzi więcej i jest mądrzejszy o kilka
schematów
co tak naprawdę nic nie daje

jest wyjście
zrobmy sobie romans pozwólmy na
wiele
poprowadzisz mnie lekko wzdłuż
prostych zasad
bez pytań i żądań w związku z
przyszłością
i będę z tego wiersze

wiesz przecież że nic
nie wchodzi ci tak dobrze jak ja

nauka pisania

nie sposób pominąć ojca bo to dobry
temat
kto inny potrafi przerwać lata
milczenia
zadzwoń z pytaniem co słychać?
a potem znów się nie odzywać

może w pewnym wieku człowiek
nie potrzebuje już ojca
powiedziałem mu że nie mam ochoty
rozmawiać
i zapisałem sobie numer to mi
wystarczy

z pewnością mam ukryty żal i nadzieję
że nie pisał wierszy
wolę myśleć że zawdzięczam mu
wszystkie gorsze cechy



BARBARA MEDAJSKA

KLUCZ DO KSIĘGI ŻYCIA*

(OPOWIADANIE INSPIROWANE MITOLOGIĄ SŁOWIAŃSKĄ)

Do zamkniętych okien starego człowieka, który całe życie mieszkał na wsi, uczciwie pracował na roli i kochał przyrodę, nagle ktoś zapukał.

Wstał z łóżka, choć nie było mu łatwo, i poszedł do drugiego pokoju, z którego rozlegało się to dziwne pukanie. Stał zdziwiony, bo nie pojawiła się żadna postać, a mimo to pukanie nie ustawało.

– Kim jesteś?

– Jestem Weles¹. Proszę, żebyś coś dla mnie zrobił, i jeśli to spełnisz, nie będziesz cierpieć, a twoja dusza pójdzie od razu do niego.

– Do kogo? – spytał przestraszony staruszek.



📷 Tomasz Młynarczyk

– Do Peruna², który rządzi niebem.

– Jestem już stary, nie mam siły, oszczędź mnie – prosił staruszek.

– Tylko ty możesz spełnić moją prośbę.

– Jestem prostym rolnikiem, ciężko mi nawet ustać na własnych nogach. Dlaczego ja?

– Bo jesteś bliski śmierci...

– O tak, myślę, że masz rację... każdy dzień zbliża mnie już do tego, co nieuchronne.

– No więc chyba nie chcesz, uczciwy człowieku, stracić tego wszystkiego, nad czym całe życie pracowałeś? I nie chciałbyś zapewne stracić swojego dobrego imienia?

– A dlaczego miałbym je stracić?

– Bo klucz do księgi twojego życia został ukradziony i mogę zmienić każdą stronę, zapisując ją innymi faktami, niż były. Mam to zrobić?

– Nie, nie rób tego, gdyż księga mojego życia to także splot różnych wydarzeń w życiu innych ludzi, którzy się na mojej drodze pojawili... narobiłbyś strasznego zamieszania... skrzywdziłbyś ludzi, z którymi się przyjaźniłem, którzy mi pomogli, a na to ci nie pozwolę.

– Właśnie. Dlatego musisz spełnić to, o co cię poproszę. Jesteś gotowy do wysłuchania mojej prośby?

Staruszek nie odpowiedział. W jego oczach pojawiły się łzy i choć Weles je zauważył, nie przejął się nimi zupełnie.

– Pytam jeszcze raz, czy jesteś gotowy do wysłuchania mojej prośby?

– Nie.

– W takim razie, skoro nawet nie chcesz usłyszeć, skoro gardzisz moją dobrą wolą, że powiadomiłem cię o tym, że Demony Śmierci ukradły klucz do księgi twojego życia, skoro nie chcesz się w niczym mi przysłużyć, to pomimo najszczerzej chęci jestem zmuszony do otwarcia kluczem...

– Nie! Zaczekaj, mów, o co ci chodzi!



📷 Tomasz Młynarczyk

- A jednak! Nie jesteś takim bezlitosnym starcem, jak myślałem i pomożesz mi choć jeden raz w życiu! Nigdy nie mogłem liczyć na twoją pomoc, całe życie odwracałeś się ode mnie.
- Staruszek nagle zobaczył przez szybę swojego okna wielki, złoty klucz. Gdy tylko Weles dotknął nim księgę oprawioną w złoto, zawartość księgi stawała się przeźroczysta. Na tytułowej stronie ujrzał swoje zdjęcie z młodości i swój podpis. Wzruszył się, gdy zobaczył obrazy ze swojego życia, swoją młodą matkę, która kołysała go w kołysce uplecionej przez ojca, trud ich pracy na roli, swoje pierwsze kroki, dróżkę, którą razem z kolegami szedł do szkoły... Wtem zobaczył koguta, który dziobnął go w rękę, gdy był mały... Niestety Weles schował klucz i nagle księga nie była już przeźroczysta. Zrobiło mu się smutno, bo bardzo się rozmarzył.
- Pokazałem ci, że trzymam twoją księgę i klucz do niej mam tylko ja. Nie oszukałem cię. Dlaczego więc posmutniałeś?
- Bo chciałbym spotkać moich bliskich... którzy mnie kochali, a ich groby są daleko i ciężko mi już do nich dojść. Tylko raz w roku, w Święto Zmarłych, zapalam na ich grobach świeczki... Nie masz pojęcia, jak za

- nimi tęsknię i jak chciałbym ich teraz spotkać...
- Ja też chciałbym, abys mógł ich spotkać, ale najpierw musisz spełnić moją prośbę.
- Skąd masz klucz do księgi mojego życia?
- To bardzo skomplikowana historia - odpowiedział Weles, którego nie było widać.
- Proszę, powiedz mi.
- Skoro pytasz, mogę ci powiedzieć. W moim królestwie śmierci mieszka od niedawna demon Akijo, którego kiedyś spotkałeś w swoim życiu pod postacią koguta. To on dziobnął cię w rękę, jak byłeś mały, abys zapamiętał jego istnienie na zawsze. Sprawdź teraz, czy pozostał w tym miejscu, gdzie cię dziobnął, ślad.
- Staruszek włożył okulary. Dawno się nie przyglądał swojej skórze, toteż sam był ciekawy, czy ma jakikolwiek ślad. Minęło już prawie osiemdziesiąt lat, odkąd podszedł do niego kogut i z całej siły go dziobnął. Ręce staruszka wykonały przez te lata wiele ciężkiej pracy, były nieraz odmrożone i spalone słońcem, pełne odcisków i pomarszczone. Ale ślad po kogucie wyróżniał się wśród miliona zmarszczek, był jaśniejszy i wyraźnie widoczny, co go zaskoczyło.

- Tak, ślad pozostał.
 - Akijo chciałby, abyś trafił do nieba, ale nie możesz tam być dotąd aż... jesteś już gotowy?
 - Tak, jestem.
 - ...aż nie zabierzesz tam także i jego.
 - O nie! Nie może demon śmierci iść do nieba! Co miałby tam robić?
 - Chciałby się zmienić.
- Staruszek był człowiekiem prostodusznym i nie wyczuł podstępów w tym, co powiedział Weles.
- Jeśli chciałby się zmienić na lepsze i ja miałbym się do tego przyczynić w jakikolwiek sposób, sobie samemu zapewniając możliwość ujrzenia wszechwładnego Peruna, to zgadzam się na to, aby to się stało.
 - To mnie cieszy. Więc teraz posłuchaj. Akijo nie może tam się pokazać, więc wejdzie on w ciebie, przez to znamie, które masz na lewej dłoni. A potem, będąc już w niebie, po prostu natniesz leciutko tę bliznę, aby mógł wyjść z ciebie cały i się go pozbędziesz... dobrze?
 - Dobrze. Ale powiedz mi, dlaczego Akijo chce być w niebie i z kim tam będzie obcował?
 - zapytał mądrze staruszek.
 - Akijo nie chce już być demonem śmierci. Chce nauczyć się od innych, jak żyć w zgodzie.
 - Ale przecież będą go wszyscy unikać. Będzie jak czarna wrona wśród białych gołębi. Nie będzie miał przyjaciół ani nikogo bliskiego... czy na pewno to miejsce jest dla

niego...

- Może tak będzie. Ale nie martw się o jego los. Ja też chcę się go pozbyć, bo jest to najbardziej uciążliwy z demonów. Zgadzasz się więc, aby wszedł w ciebie Akijo?

Staruszek nie przewidział, dlaczego Weles to powiedział i jaki był plan Welesa. Demon Akijo był tylko sługą Welesa. Staruszek nie zdawał sobie sprawy, że godząc się na wejście w swoją skórę choćby jednego demona (a następnego dnia miał umrzeć i pójść do nieba), godzi się na rzecz, która narobi wielkiego zamieszania w królestwie Peruna, zawsze wolnego od demonów.

- Tak, zgadzam się. Przyprowadź tego Akijo - tylko wtedy, gdy będę umierał.
- Będziesz umierał jutro w południe.
- Przyrzekasz, że nie zmienisz jutro zdania.
- Przyrzekam, gdyż nie chcę być mieszkańcem twojego królestwa.

Staruszek wrócił do swojego pokoju. Położył się, bo był bardzo zmęczony. Nie miał już żadnych bliskich, ani nikogo, komu mógłby opowiedzieć o wizycie Welesa. Jego żona zmarła wiele lat temu, a jedyny syn zginął w pożarze. Był niezwykle zasmucony tym, co się wydarzyło, ale wiedział, że nie ma odwrotu od tego, co się już raz przyrzekło. Był człowiekiem uczciwym i chociaż czuł smutek, wiedział, że postąpił zgodnie ze swoim sumieniem, które nakazywało mu pomagać upadłym. Pod wieczór, odpoczywając swobodnie w swoim łóżku, obejrzał jeszcze raz kilka



zdjęć w albumie rodzinnym. Cieszył się, że już jutro spotka swoich bliskich, a szczególnie matkę i ojca, których najbardziej kochał.

Słońce powoli opuszczało się i zapanował zmierzch. Staruszek odsłonił firankę okna, przez które rozmawiał z Welesem. Tylko sucha gałąź starego drzewa szeleściła za tym oknem. Yła już późna jesień. Liście opadały na ziemię kołysane zimnym wiatrem, który to wzmacniał się, to ustawał. Gdy przyszła noc, staruszek umył się i uczesał. Wyjął z szafy ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Nie bał się śmierci, gdyż od wielu lat był już przygotowany na spotkanie z nią. Zdrowie miał coraz słabsze i nieraz prosił Peruna, aby zabrał go już do swojego królestwa, w którym nie przebywały żadne cienie, mary, zjawy ani demony. Spotkał ich w życiu mnóstwo i całe życie dzielnie się im przeciwstawiał.

Nadszedł ranek, a potem południe. Nagle zerwał się silny wiatr, zakolysał drzewami, liście zawirowały w powietrzu. Staruszek, odświętnie ubrany, stał i czekał pokornie przy oknie na nadejście tego, co wczoraj zostało mu objawione.

- Ja jestem demon Akijo. Widzisz mnie? - usłyszał nagle.
- Jakże mam cię widzieć, skoro jesteś duchem?
- Na chwilę stanę się kogutem, dziobnę cię w to samo miejsce, w które już raz cię dziobnąłem, i wejść w twoją skórę.

Tak się stało. Szybko, przy której stał już od samego ranka staruszek, nagle pękła, kogut wskoczył na jego rękę, dziobnął go aż do krwi i wśliznął się w ranę. Po chwili staruszek umarł. Ziemia zatrzęsa się, a dom, w którym mieszkał, nagle runął i nie pozostało po nim nic oprócz małego kawałka szkła, przez które wszedł do środka demon Akijo.

Spotykając Peruna, staruszek dowiedział się, że popełnił błąd zgadzając się na prośbę Welesa, gdyż Akijo będzie przebywał w niebie razem z nim, bo nie ma możliwości rozdzielenia ich od siebie. Akijo, aby wyjść z nieba, musi otrzymać zgodę Welesa, który wysłał go do nieba, aby Akijo mógł

rękoma staruszka wykradać klucze do ksiąg życia, mieszając w ten sposób losy ludzi dobrych ze złymi. Weles zazdrościł Perunowi królestwa, które nigdy nie było puste i pragnął pomieszać losy mieszkańców nieba ze swoimi duchami, mieszkańcami królestwa smutku, ciemności i ciągłego umierania, dlatego wymyślił ten przebiegły plan.

Staruszek codziennie nacinał bliznę na rękę, ale Akijo nigdy z niego nie wychodził. Prosił także Peruna, aby stracił do królestwa śmierci, bo miał poczucie winy, że całe życie będąc uczciwym człowiekiem, zgodził się i to na dzień przed śmiercią na coś, co teraz miało zaszkodzić wielu ludziom i pomieszać losy dobrych ze złymi.

Perun, znając uczciwość staruszka, nie mógł stracić go do królestwa śmierci, gdyż byłoby to w jego mniemaniu niesprawiedliwe. Wszyscy się męczyli w niebie z powodu ginących ksiąg życia i pojawiających się tam co jakiś czas demonów, wysłanników Welesa.

Tylko Chors³, bóg księżyca, zarządził tej sytuacji. Pewnej nocy zaprosił do siebie staruszka. Staruszek zobaczył, że Chors chce mu pomóc i oddał mu cały swój blask, a Akijo, złodziej ksiąg życia, spłonął od razu. Czasem, w jesienne noce, widać na księżycu postać zamysłonego staruszka. Kiedy Chors mocno świeci to znak, że staruszek dzieli się z ludźmi swoim blaskiem.



* Wyróżnienie w I edycji turnieju literackiego "Chichot Chimery" (2007).

¹ Weles - jedno z naczelných bóstw mitologii słowiańskiej, wymieniane w kolejności jako drugie po Perunie. Weles jest bogiem przysięgi, magii i zaświatów. Rządzi królestwem, które się nazywa Nawie, i jest zamieszkałe przez dusze umarłych.

² Perun - najważniejszy bóg mitologii słowiańskiej. Jest bóstwem nieba, piorunów i wojny.

³ Chors - bóstwo lunarne mitologii słowiańskiej. Kult księżyca obecny był na całej Słowiańszczyźnie, szczególnie wschodniej.



ROBERT KONCA

I staje się noc

Włożyłaś błękitną czapkę nieba
I jest ci w niej ładniej
Niż słońcu

Pod szczytem Łomnicy
Wiatr urządza nam lekcję pokory

A tu schronisko zamknięte
Nie będzie elektrycznej herbaty
Z destylatem z leśnego runa
Gospodarz
Pan Laco Kulanga
Pewnie utknął gdzieś na szlaku
Z dwustukilowym ładunkiem
Na szerokich plecach
A my z naszych atomów i próżni
Musimy uformować jedno ciało stałe
By wiatr nie zdmuchnął nas z grani

Śliskie kamienne stopnie
Ewidentnie wiodą do nieba
I to dobrze że jesteśmy
Bardziej zdziwieni niż rozzarowani
Gdy skalna ścieżka znienacka
Obiera niemal infernalny wektor

Lesista dolina
Pełna jest mgieł i wątpliwości
Rozkładamy kolorową mapę
Dzieło sztuki abstrakcyjnej
By znaleźć drogę do wieczoru w bazie
Gdzie kaflowy piec już czeka
Na wzniecenie ognia
Jak poeta na łaskę natchnienia

I staje się wieczór
Piec szepcze czule
W kaflowym narzeczu,
Wrze woda na herbatę

To chwila kiedy ufam
Że na nic entropia
Ucieczka galaktyk
Paroksyzmy czasu
Próbujące ukraść nam młodość
Piękno i wszelką nadzieję

Czy jesteśmy razem
Nie wiem
Ale czy są samotne
Dwie cząsteczki wygnane
Na przeciwległe krańce kosmosu
A jednocześnie tak bliskie
Bo przecież oddziałują na siebie
Zaginając czasoprzestrzeń
Jak kartkę papieru

I staje się noc
A nasze oczy
Śnią się nawzajem

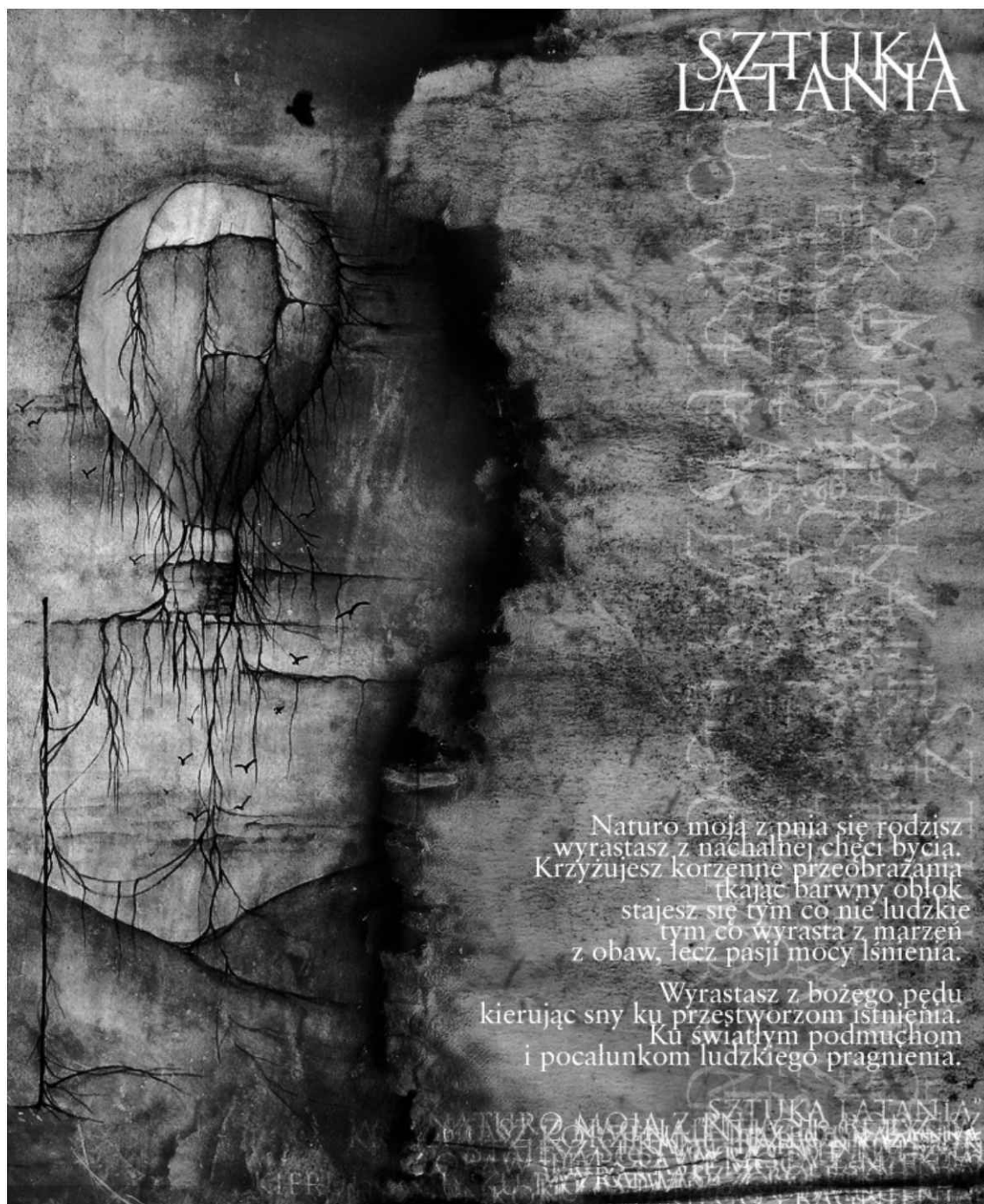
Klucze

wczoraj byłem na dworcu

jakiś człowiek opowiadał mi
głosem rozdartym od denaturatu
że przez wiele lat wędrowania
między dworcem kolejowym a parkiem
znalazł dużo różnych kluczy
na ulicy

śmiał się
gdy mi je pokazywał i mówił:
mam je zawsze ze sobą
tak jak nosi się klucze
do własnego mieszkania

minęła północ
człowiek wstał nagle z ławki
i powiedział: pójde
może znaleźć wreszcie drzwi
które otworzę jednym z nich



Axis Art Project



JERZY REUTER

RURA

Mikułowa sprzątała. Sześć klatek schodowych, wpisanych w tydzień. Każdego dnia jedna, z góry na dół, na „glanc”, jak mówił jej mąż, dozorca bloku, wielki pan. „Jestem gospodarzem budynku” - oświadczał z dumą i szedł się upić. Tak było od zawsze. Mikułowa, otepiała w swej złości i bezsilności, zaciskała zęby i pracowała. Zmywała ludzkie brudy, wymiatała śmieci z pokorą pokutnicy, bo tak trzeba, tak ma być. Mikuła w knajpie, a ona z lekkim, przyklejonym do ust uśmiechem, pochylała się nad kamienną posadzką... i na glanc, jak pan Bóg i Mikuła przykazali. Kłaniała się zawsze pierwsza, najczęściej prostokątom drzwi, czasami lokatorom. On nawet okien nigdy nie umył. Sama wdrapywała się na piramidę krzeseł i ściągała ludzkie oddechy z brudnych szyb. Lokatorzy patrzyli na nią z zimną obojętnością, a nawet z pogardą. Zaszczyty zbierał mąż. To jemu kiwali głową z daleka, poklepywali po plecach i częstowali papierosem. Mikuła był człowiekiem szanowanym, nawet za żonę, tę pracowitą, cichutko stąpającą z pochyloną pokornie głową. Uśmiechała się na to wszystko i w tajemnicy połykała łzy.

- Pani Mikułowa! Jest pani tam? - ktoś biegł po schodach do góry. - Szybko!

- Jestem! - zawołała, przechylając się przez poręcz.

- Dobrze, że panią znalazłam. - To była pani Kotek z pierwszej klatki. Zawsze wystrojona i pachnąca. - Coś się stało! - Stała na półpiętrze. - Pani mąż! On tam jest... Na starej fabryce jest... Boże!

- A co mój mąż? Pije w ruinach? Pani najlepiej wie, co on lubi - dodała. Nienawidziła Kotkowej. Za jej bogate stroje, jej miły zapach, wyniosłość i za to coś najważniejszego. Za romans, z Mikułą. - Jeżeli już, to pił, miła pani. Teraz już nie, bo wpadł do jakiejś rury i siedzi tam zakleszczony, kilka metrów pod ziemią.

- Mój Boże! - udała przerażenie - I co? Pomogła mu pani?

- Ja? No też coś, a co mnie to obchodzi? Nie mój interes, dobra kobieto. Nie wtrącam się i już.
- To, co ja mam teraz... No, co ja mam robić?
- Trzeba tam iść... Tam trzeba kogoś wezwać. Może straż pożarną? Ale, jak mówiłam, nie moja sprawa. No! Zostaw pani te szmaty i wiadro. Do męża, już! Nic mnie to... A jak pani załatwi, to proszę dać mi znać.
- Już on sam da znać - odparła cicho Mikułowa. - Mąż zna pani adres.
- Niech pani dziękuje Bogu, że akurat spotkałam dzieci. One tam chodzą na skróty, do szkoły. To te dzieci mi powiedziały.
- Była pani tam, przy Mikule? - zapytała, wykręcając szmatę.
- No też coś! Ja? Mnie to nie interesuje. Męża trzeba sobie pilnować, może nie? Wiem tylko, że ta rura jest obok hydrantu. Resztę sobie pani sama znajdzie. Mikułowa powoli pozbierała swoje narzędzia pracy.



Agata Salwa

Postanowiła iść do starej fabryki i zobaczyć, co się stało. Była przyzwyczajona do takich, nieoczekiwanych wiadomości. Wiele razy prowadziła do domu, ślaniającego się na nogach męża. – Mam nadzieję, że nikomu pani nie mówiła?

- No nie! Tego chyba za wiele! Ja? Ja nie opowiadam... Jak to robią niektóre. – Kotkowa obróciła się na pięcie i pobiegła na wyższe piętro. Po chwili wróciła i dodała. – A byłam tam, byłam. Dałam mu wody, bo kto się interesuje? Kto by mu dał? – po czym uciekła truchtem. – Sama jesteś jak ta rura - cichutko powiedziała Mikułowa i powoli zeszła schodami.

Stara fabryka, a właściwie jej szczątki, mieściła się tuż za osiedlem. Rozebrana z wszelkich metalowych elementów, na wpół zburzona, była siedliskiem bezpańskich psów i „klubem” miejscowych pijaczków. Zarośnięta dzikim zagajnikiem, zazdrośnie strzegła tajemnic swoich mieszkańców i gości. Jedynym czynnym urządzeniem fabryki był hydrant, gdzie mieszkańcy myli swoje samochody. Mikułowa bez trudu, tuż przy hydrancie, znalazła kwadratowy otwór. Drewniana kłapa leżała odrzucona kilka metrów dalej. Sprawdziła czy zawór wodny działa i podeszła do studzienki. Spojrzała w dół. Głowa męża znajdowała się około metr, poniżej krawędzi wjazdu. Rura, o której mówiła Kotkowa, była starą studzienką kanałową, przykrytą drewnianym włazem. Mikuł stał w dziurze, zakleszczony, z rękoma uniesionymi w górę. Oddychał ciężko i jęczał.

- Mikuś! To ja! - zawołała w głąb. - Jak ci tam? Ty żyjesz jeszcze?
- No! Nareszcie jesteś, gdzieś się szlajała, co?
- Szlajała się, mówisz? – odparła spokojnie. - Pracowałam, za ciebie pracowałam, Mikuś.
- Jezu! - jęknął. - Uratuj mnie, kobieto... Zawołaj kogoś, sam nie wiem, co.
- Ja wiem, Mikuś, ja wiem, co trzeba zrobić. Wszystko wiem. – Ktoś odsunął te cholerną kłapę i nawet nie wiem, kiedy...
- Ja wiem, kiedy - przerwała. - Już ja wiem,

kiedy wpadłeś. Wiesz, kiedy? Jak się uchląłeś, wtedy. Ale dobrze, że tak się stało.

- Co, kurwa, dobrze? Co cię napadło? Ratuj mnie, a pogadasz sobie potem!
- Mogłeś prosić Kotkową.
- Co Kotkową? Co mogłem prosić?
- No... Skoro ci dupy daje...? To mogła cię ratować, nie?
- Co mi daje? Dupy daje? Czyś ty oszalała? Przyszła tutaj, przyszła, bo jej jakieś dzieci powiedziały. Podała mi wody i poszła. – Ja też ci dam wody, Mikuś.
- Podeszła do hydrantu i odkręciła zawór. Przez chwilę wpatrywała się w strumień, po czym odkręciła kurek do końca. Stała przy otworze studzienki.
- To chcesz tej wody? - zapytała cicho.
- Nie zadawaj głupich pytań! Nalej do butelki i podaj mi do ręki!
- Masz, Mikuś, wody nie będę ci żałować - włożyła czarny wąż do dziury.
- Ja pierdolę! Co? Co? Co robisz!
- Wody ci daję, mężu kochany.
- Czego ty chcesz? Już mam do kostek!
- Pogadać chcę, Mikusiu. Odpowiesz mi na kilka pytań, a potem się zobaczy. Po każdym pytaniu odstawię węża, ale pamiętaj draniu, zła odpowiedź to leci woda. Można powiedzieć, że swoje życie masz w rękach, własnych rękach.
- Niech cię szlag trafi! Pytaj!
- Gdzie są twoi koledzy?
- A co mnie oni obchodzą? Nie wiem!
- Zła odpowiedź - odparła i wsadziła wąż w otwór.
- Pojebało cię? Przestań! Śpij w ruinach, na drugim końcu!
- No widzisz? - wyjęła wąż. - Jak łatwo ci idzie, dobry Mikuś. To teraz, kochanie, powiesz mi o Kotkowej, dobrze?
- Co mam powiedzieć? - odpowiedział płaczliwym głosem. - Co mi do Kotkowej... Czasami coś jej naprawiłem w domu... Co mi do niej? – zanim dokończył zdanie, struga wody wlała się do środka. – Nie kłam! Bo będzie bardzo mokro. Teraz odstawię wodę, a ty odpowiesz na pytanie. Staraj się, Mikuś.
- Ona mnie uwiodła. Upiła, a potem wykorzystwała. Przysięgam. Nie! Nie lej wody! Tak, chodziłem do niej, ale kocham



 Paweł Żochowski

- tylko ciebie - zapłakał i poczuł zimny strumień spadający na głowę.
- To za kłamstwo. Nie wymawiaj słowa „kocham” w mojej obecności, łajdaku. - Co ty robisz? Czego chcesz? Ratuj mnie, a nie zadawaj pytań.
 - Pomyślałam sobie, że przyszedł czas - odpowiedziała spokojnie. - Jesteś w moich rękach i już się nie wywiniesz kłamstwem. Mam cię, że tak powiem, w garści. Rozliczymy sobie nasze piętnaście lat, panie Mikuła. Do ciebie mówię draniu. Zapamiętaj sobie, bucu jeden, że skończyło się moje więzienie. Jesteś pod butem. Może nawet zamieniliśmy się miejscami. Ja kilkanaście lat siedziałam w takiej dziurze, a teraz ty, Mikuś.
 - Tak źle ci było? Dałem ci dom!
 - Gównu mi dałeś! Sama odpracowałam. Nawet palcem nie kiwnąłeś. To ja wstawałam w zimie i śnieg odgarniałam. Ja zamiatałam, zmywałam i wszystko inne. Ty tylko przepijałeś. Szmaciarzu!
 - Poczekaj, kretynko! Niech tylko stąd wyjdę, już ja ci dam! Przypomną ci się wczasy w Piwnicznej, oj przypomną.
 - Ty mi Piwnicznej nie przypominaj. Do dzisiaj bolą mnie połamane żebra.
 - Rany boskie! Wodę mam do pasa! - zawołał Mikuś. - Doczekałaś się, koniec z tobą!
 - To ty się bój. O Piwnicznej jeszcze dzisiaj pogadamy. Kopalesz mnie bydlaku!
 - Nie musiałaś mnie śledzić, wariatko. Łaziłaś za mną jak jakaś menda, a po co? Jezu! Ta woda idzie coraz wyżej! - Boś się wycierał po krzakach z kucharkami, a ja sama siedziałam w pokoju. Mikuś, Mikuś, ale cię przyłapałam i co? Pobiliś mnie na oczach tej dziwy!
 - Nie z kucharkami, tylko z jedną, a ta była intendentką. Jak chcesz wiedzieć. Wypuść mnie natychmiast! Kurwa mać! Jak stąd wyjdę dam ci łaźnię! Spiorę cię, rozumiesz? Nawet dzieci nie mamy. Taka jesteś kobieta.
 - No tak, Mikuś - wyjęła wąż i zakręciła wodę.
 - To ja ci teraz coś powiem.
 - Głupia jesteś! Ze wsi cię wziąłem, od biedy i wszy! Teraz mi płacisz? To ja ci coś powiem! Ożeniłem się, bo mnie twoi bracia zmusili, tak, zmusili za dług! Ja ciebie, wariatko, przegrałem w karty! Nie miałem, z czego oddać i bracia mnie podstawili tobie. Tak było!
- Mikułowa usiadła, obok dziury, na kamieniu i zapłakała. Po chwili umyła twarz zimną wodą i uważnie rozglądała się wokół. Było zupełnie pusto. Spojrzała na zegarek i postanowiła działać. Początkowo chciała tylko wystraszyć męża, wydobyć z niego chwilę skruchy i słowa przeprosin. Zrozumiała jednak, że droga jest tylko jedna. Przez chwilę spacerowała po placu i szukała czegoś na zakurzonej ziemi. Gdy już znalazła podeszła do studzienki.
- Posłuchaj mnie, Mikuś. Musisz coś zrobić, bo

- jak nie, to cię utopię. - Wypowiedziała słowa tak spokojnym tonem, że Mikuła poczuł gorące dreszcze, pomimo chłodu wody.
- Mów! - rzucił krótko. - Mów, a potem mnie wyciągnij.
 - Powiedziałeś, że nie kochasz Kotkowej, tak... Tak powiedziałeś. Myślę sobie, że możesz to teraz udowodnić.
 - Udowodnię, przysięgam i też, że już nigdy, no wiesz, z Kotkową.
 - Może wody ci dolać? Co? Znowu kłamiesz! Ale dam ci szansę, dam. Nie kochasz Kotkowej?
 - Nie!
 - To masz tu gwóźdź i pisz na ścianie. Podyktuję ci. Masz to tak wyskrobać, żeby nie znikło nigdy, rozumiesz?
 - Szlag by to wziął! Dawaj ten gwóźdź.
- Podala mu gwóźdź zaczepiony na patyku. Była ostrożna. Mikuła dygotał z zimna i patrzył w górę, oczekując na dalsze polecenia.
- Teraz pan Mikuła się podpisze - rzekła z uśmiechem.
 - Jak to?
 - Najpierw się podpiszesz, draniu, wiem, co mówię.
 - No dobrze, masz! Podpisuje się.
 - Mocniej, Mikuś, ma być wyraźnie.
 - Zrobione!
 - Pięknie. To nad tym podpisem napiszesz „Kotkowa”



 Joanna Bukowska

- Co Kotkowa?
 - Pisz!
 - Jest „Kotkowa”
 - Dopisz „winna”
 - Dopisuję
 - Teraz przeczytaj.
 - Kotkowa winna, Mikuła.
 - Mówiłeś, że nie mamy dzieci? Że nie jestem kobietą?
 - Może mówiłem, już nie pamiętam
 - Głupiś, Mikuła, głupiś jak ten cały świat. Miałam spiralę, przez cały czas, gnoju jeden, z tobą dzieci? A czym sobie zasłużyłeś? Pilnowałam się przez piętnaście lat, żeby nie urodzić takiego, drugiego Mikuła. Było o jednego za wiele, a ty byś chciał jeszcze?
 - Przestań już pierniczyć! - wrzasnął. - Poczekaj hadro, niech tylko stąd wyjdę. Już ja ci to wszystko wyłożę.
- Mikułowa, bardzo spokojnie podeszła do hydrantu i odkręciła wodę. Jeszcze raz uważnie rozejrzała się wokół i podeszła do dziury.
- Był Mikuła i nie ma Mikuły - zanuciła i wetknęła wąż do studzienki. Następnie zatkała otwór drewnianą klapą. Odczekała kilka minut, aż ustały wrzaski Mikusia, zakręciła wodę i wyjęła wąż. Przeżegnała się i odmówiła „Wieczne odpoczywanie”, po czym poszła powoli w kierunku miasta.

- Komenda miejska policji, słucham.
- Dzień dobry. Chciałam zgłosić morderstwo.
- Tak? Poproszę o nazwisko i adres, z którego pani dzwoni.
- Dzwonię z budki, a nazwiska nie podam. Może kiedyś.
- Więc, o co chodzi?
- Proszę pana. Na terenie starej fabryki, obok osiedla Ułanów, utopiono człowieka. Tam jest taki placyk z hydrantem i tam go... Rozumie pan. - Pani to widziała?
- Mordercą jest Alicja Kotek. Mieszka na osiedlu, w dwójce, pod numerem sześć. Proszę pytać dzieci, one ją tam widziały, jak szły do szkoły. To tyle, co wiem. Do widzenia.
- Halo! Jest pani tam? Halo!





[ZABELA KOCZODAJ]

szalom, Salom[e]!

1.
jak można być
tak bardzo

niedotykaliskim

żeby nie tańczyć?

(*szalom, Salom[e]!*)

2.
jak
z j e d n e j
wielkiej miłości
można chcieć wszystkich [zadowolić]?

nie o turystach

ciało niedoświadczane
boli najbardziej

dlaczego

tym z palcem w mapie
tym... japończykom
wystarczy że
widzą?



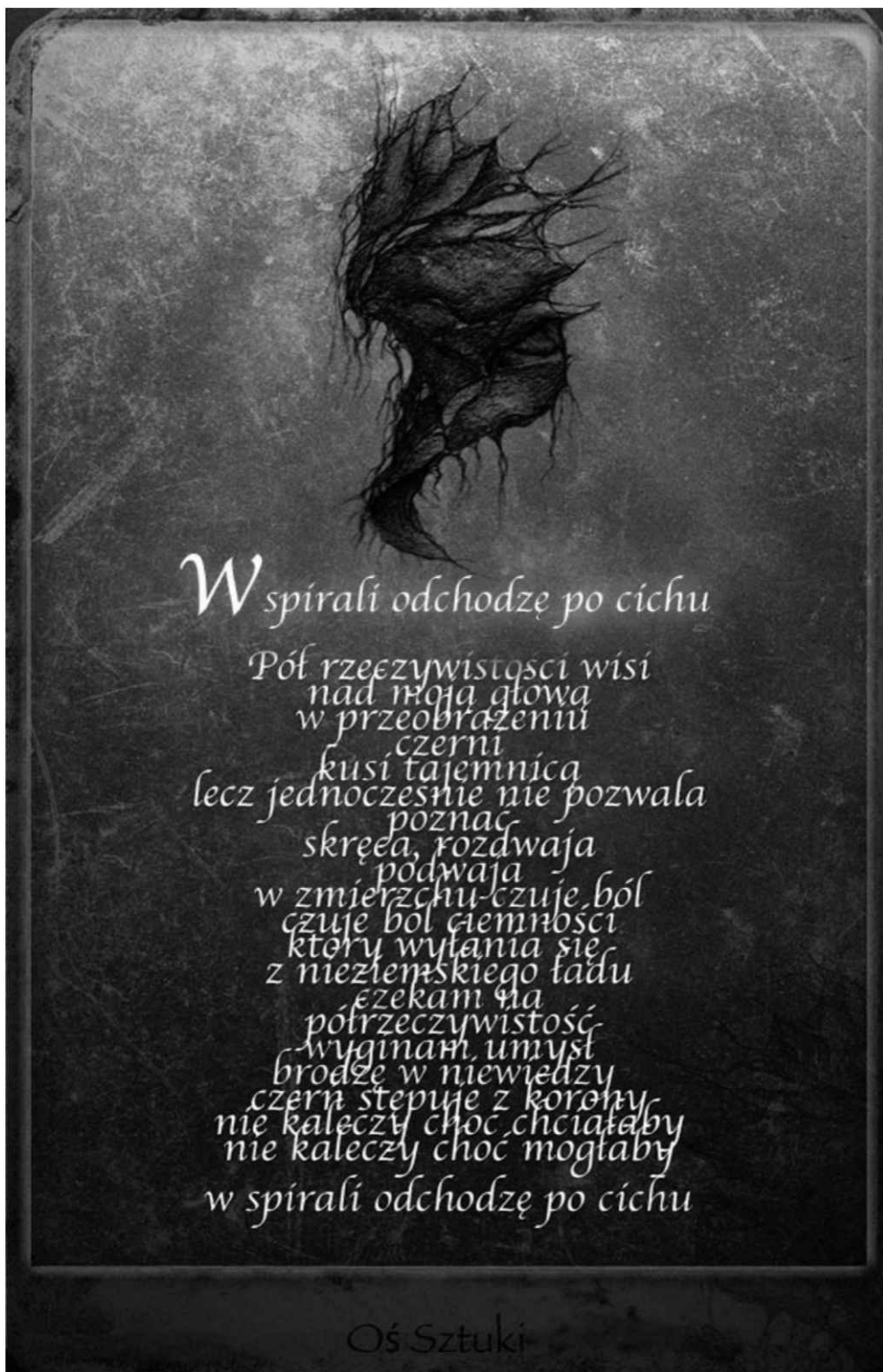
WIEŚLAW BOŁTRYK

Brodski

Pozytywne uczucia są
Nie do zniesienia
Nie
Wiadomo co Robić
Powiedział Brodski
Na kanale Kultura TV i obudził wszystkich
W cicho śpiącym bloku zamierzchłych
czasów.
Nas
Którym dobro leży na sercu
To znaczy co! Wiadomo?
Ci artyści sami nie wiedzą Co
Począć
Z napisanym wierszem
Z nie napisanym
Takoż.
Ale nie ma pewności
Skromnie patrzą nam na ręce
Na skronie nasze i twarze pocięte
Rola
Odbiorcy cenzora wydawcy profesora
Wykidajły z Restauracji numer 5
Na dalekim Sybirze
Gdzie w pociągu nie spotkasz pijanego
konduktora
Jak do Moskwa - Pietuszki
Jerofiejewa.

Ale nie ma pewności
Tylko
Siebie zobaczysz po raz pierwszy Naprawdę
Czyli w słupie zdumionej soli móż I lasów
słonnych
Od potu
Który ozdobą chorego ciała Nie jest
Tylko brakiem sił do czegośkolwiek
Jedynie w książkach znajdziesz moc i
przetrawasz
Do jutra Bo jutro
Będzie futro I tak do następnego
Rana
Nie goi się nigdy Można ją zaleczyć
Fleksją i budową Pod osłoną nocy
Zdania.

Ale nie ma pewności
W dzień zaś uśmiechać się należy
Do drzew które pilnują Nas
Całą dobę
Byśmy czegoś złego nie zrobili sobie
I innym
Przy pisaniu Na torach wykolejonego
Kolejnego wiersza
Potrzebnego nam i Niejakiemu
Noblowi Czy jak mu tam!
I pamiętaj Bądź
Sobą
I pisz wiersze.





GRZEGORZ ŻAK

WIESZCZYCA

“Wiedźma, wieszczycza, bo wieszczaniem przyszłości się trudni”
Aleksander Brueckner *Mitologia słowiańska i polska*

“Gdy chcą mieć deszcz, bierze piasek w ręce,
miecie przez się, obróciwszy się tyłem
ku wschodu słońca, a gdy chce mieć grad,
tedy krzemienie, kiedy ludzi chce zwadzić albo małżeństwo,
tedy drwa poprzek kładzie przeciw onemu domowi”
Postępek anonim z roku 1570.

Staruszka oparła się o słup sygnalizacji świetlnej dysząc ciężko. Wiedziała, że koniec jest bliski. Widziała to.

Była wysoka, blada i szczupła niemal jak nastolatka. Przy tym pochylona i pomarszczona, ubrana w stary wełniany płaszcz nieokreślonego koloru. Długie i zadziwiająco gęste, siwe włosy spływały jej swobodnie na plecy. Tylko grzywkę, puszystą, gęstą i dokładnie zasłaniającą czoło, miała równo przyciętą tuż nad brwiami. Dziwna doprawdy fryzura dla kobiety w tak podeszłym wieku.

Minęła kolejna zmiana świateł, a ona ciągle stała przed przejściem dla pieszych, patrząc zamglonym wzrokiem na przechodniów.

– Co pani jest? – usłyszała kilka razy – Wezwać pomoc?

– Nie, nie – odpowiadała natychmiast pewnym siebie głosem – nic mi nie jest.

Nie pragnęła współczucia.

Nie, z całą pewnością nie pragnęła współczucia. Zresztą wydawało się, że mimo pewnych objawów słabości cała postać staruszki emanuje jakąś wewnętrzną mocą. Mijający ją ludzie wyczuwali to. Widziała to w ich oczach. Wiedziała. Wiele wiedziała. Przecież była wiedźmą – tą, która wie. Wieszczycą – tą która wieszcy.

Miała jeszcze jedno bardzo ważne zadanie do wykonania w tym życiu.

Nie czekała długo. Ta blondynka była w odpowiednim wieku, była też dość wysoka i zdawała się być bardzo ładna. Powinna wzbudzać szacunek. Zresztą wiedźma nie miała wielkiego wyboru, a czas nagił. Nagle wyprostowała się, w nadspodziewanie szybkim tempie podbiegła do dziewczyny, stanęła przed nią, złapała ją

żelaznym chwytem za ramiona i spojrzała prosto w mocno pomalowane niebieskie oczy. Blondynka nigdy nie widziała takiego spojrzenia.

– Czego chcesz starucho?! – krzyknęła przestraszona.

Wieszczycza nie zwalniała uchwytu. Widziała, że jej wybór był trafny – dziewczyna nie tylko nie straciła języka w gębę, ale jeszcze się odgryzała. Nadawała się.

– Będiesz wiedzieć – syknęła.

Dziewczyna szamotała się i próbowała wyrwać. Bezskutecznie. – Będiesz wiedzieć – powtórzyła wiedźma.

Wokół gromadzili się zawsze głodni nowych wrażeń gapie. Ktoś usiłował rozdzielić obie kobiety, ktoś się śmiał, jakaś starsza pani stwierdziła:

– Ja bym też wnuczki w takim stroju z domu nie wypuściła.

Wieszczycza nie zwracała uwagi na otoczenie.

Ciągle patrzyła na swoją wybranekę:

– Będiesz wiedzieć. I widzieć – jej szept przenikał.

Teraz mogła już puścić.

Jak w zwolnionym tempie obserwowała swoją następczynię, poprawiającą nerwowo czarną, krótką spódniczkę i pomarańczową, błyszczącą bluzkę z dużym dekoltem. Widziała, jak rzuca w nią pełnymi nienawiści spojrzeniami i słowami. Nie słyszała ich. Nieważne. Liczyło się to, że ktoś przejmie jej wiedzę, że tradycja nie umrze.

Kiedyś jej na tym nie zależało. Ba – buntowała się przeciwko zwyczajowi poszukiwania, wyznaczania i szkolenia następczyń. Dlatego przez całe swoje długie życie nie zdążyła przysposobić żadnego dziecka do

roli wiedzącej. Wiedźmy, jak mówiono potocznie. Wieszczycy – jak same siebie nazywały. Opamiętanie przyszło późno, być może zbyt późno – niemalże w dzień własnej śmierci zrozumiała, że wiedza nie może zaginać, że tradycja przekazywana od wieków nie może urwać się przez jej buntowniczy charakter. Zrozumiała, że tradycja ma sens.

Dzień własnej śmierci... Jakże żałowała, że nie będzie mogła wskazać temu dziecku drogi wiedzy! Przez jej egoizm dziewczyna będzie musiała sama zmagać się z problemami inicjacji. Z problemami, których ona sama z pewnością nie przezwyciężyłaby bez pomocy starej Róży. Bez przewodniczki to, co zobaczy młoda adeptka, może okazać się trudne, wręcz niemożliwe do zaakceptowania. Ale Dar Widzenia wymaga ogromnych poświęceń. Ona nie mogła już pomóc. Dzień jej własnej śmierci był tuż. Godzina własnej śmierci. Moment własnej śmierci...

Stara, wysoka kobieta upadła twarzą na chodnik. Wokół rozległ się jęk zaskoczenia i grozy. Jakiś przechodzień szybko przewrócił ją na plecy, przyłożył ucho do piersi. W tej samej niemal chwili rozpoczął reanimację. Pięć uciśnień, usta – usta, pięć uciśnień, usta – usta, pięć uciśnień, usta – usta... Trwało to jakiś czas. W końcu przechodzień podniósł się i rozłożył ręce. Tłumek zrozumiał. Nie zrozumiał, dlaczego przechodzień jeszcze raz klęka przy staruszce i stuka zgiętym palcem mocno w jej pierś. W gwarze rozmów nikt oprócz litościwego przechodnia nie usłyszał dźwięku przypominającego stukanie w żeliwny kaloryfer. Nikt więcej nie poczuł nienaturalnej twardości jej pomarszczonego ciała.

- Chyba trzeba zadzwonić po karetkę – stwierdził ktoś.
- Już jedzie – ktoś inny odstawiał komórkę od ucha.
- Gapie rozchodzili się powoli do swoich zajęć. Blondynka w pomarańczowej bluzeczce z dekoltem też.



 Dariusz Dorosz

To nie był dla niej dobry dzień.

Miała na imię Wioletta, osiemnaście lat i chodziła do drugiej klasy ogólniaka już po raz drugi. W zeszłym roku nie zdała z polskiego, angielskiego i chemii. Interesowała się modą i muzyką – tak przynajmniej mówiła, jeśli ktoś o to zapytał. Do szkoły nie uczęszczała zbyt regularnie – wychodząc z założenia, że ona drugą klasę już widziała, wie co i jak, zna układy i wszystko zdąży załatwić na czas. Najczęściej widywano ją w drogich samochodach starszych kolegów. To był jej styl i jej świat – świat mody i muzyki. Modą były krótkie spódniczki i wydekoltowane bluzki, muzyką mocno basowy szybki rytm aktualnych i popularnych przebojów rodem z VIVY i MTV. Tylko jej starsi koledzy mieli w swoich drogich samochodach odpowiedni sprzęt do słuchania takiej muzyki. Imponowali

- jej – swoim luzem, muskulaturą przebijającą z każdej części ciała, poczawszy od mięsistych karków a na łydkach skończywszy. Imponowali jej stylem bycia, zawsze czystymi dresami, zapachem perfum, jaki rozsiewali, schludnymi, eleganckimi fryzurami i pieniędzmi, które zdobywali nie wiadomo gdzie i w jaki sposób. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdzie nie spotka bardziej męskich i bardziej zaradnych facetów niż oni. Niż ten jedyny, niż jej ukochany Marcin.
- Siedzieli pod szkołą w swoich samochodach. Rozparci na siedzeniach, przy otwartych drzwiach, słuchali głośnej muzyki. „Muzy” – jak sami mówili. Nawet oni nie śmieli nazwać tego muzyką.
- Siema! – podeszła do zielonego mercedesa – Cześć Marcin.
 - No cześć, kurwa, Wiolka! – Marcin wyciągnął z ust papierosa i chuchnął dymem – Znasz moją, kurwa, cizję, Wojtek? – spytał siedzącego obok masywnego chłopaka w czapce z daszkiem i w granatowych dresach.
 - Nie – Wojtek miał głos połykacza ognia. Bas jak z głębi pieca. – No to, kurwa, to jest Wiolka – ciągnął Marcin, wysoki choć krępy, krótko ostrzyżony brunet w ciemnych okularach ze złotymi oprawkami – a to mój ziomal Wojtek.
- Wioletta uśmiechnęła się. Tak, tutaj czuła się dobrze. Tu byli jej przyjaciele. Tu mogła zapomnieć o tej starej babie, która uwiesiła się na niej rano. – Nie uwierzycie, co mi się dzisiaj, kurwa, przydarzyło – powiedziała prawie wesoło – jakaś stara baba zaczepiła mnie, kurwa, na przejściu i zaczęła mi, kurwa, coś pierdolić, że będę wiedzieć, a potem coś, że widzieć, a potem wzięła, kurwa, i umarła. Na moich oczach!
- Pierdolisz – rzucił krótko Marcin – zmyślasz coś jak zwykle.
 - No, kurwa, przysięgam! – naburmuszyła się Wiolka.
- Marcin i Wojtek zaśmiali się krótko i chrapliwie. – Idziesz do budy? – spytał Marcin.
- Nie – burknęła – nie mam siły. Dużo dzisiaj przeżyłam.
 - To może się gdzieś garniemy, co?
 - Pewnie – rozchmurzyła się – a gdzie?
 - Zobaczymy – Marcin wyrzucił niedopałek na ulicę – No, Wojtek, wypierdalaj, jadę się przejechać.
 - Chyba przelecieć – parsknął Wojtek i wyszedł na ulicę, przeciągając się leniwie. Jakis kierowca o mały włos go nie potrącił, zadrżał odruchowo i chciał pogrozić ręką. Jednak szybki rzut oka wystarczył, by przyspieszył i czym prędzej opuścił ulicę koło ogólniaka.
- Chłopcy wybuchli śmiechem. Po chwili zielony mercedes ruszył z piskiem opon. Przez otwarte szyby uderzał w uszy mechaniczny dźwięk najnowszego przeboju stylu określanego jako „techno-pop”. Siedzącym w wozie nie przeszkażdała ilość decybeli. Marcin i Wioletta z dumą wystawili łokcie przez okna. W ich minach była duma rzymskich bogaczy pokazujących przepych swojej wyjściowej, kąpiącej od złota lektyki, niesionej przez dobranych według wzrostu i koloru oczu niewolników. Pogardliwa świadomość przewagi nad śmierdzącym plebsem.
- No i gdzie śmigamy? – Marcin niby mimochodem spojrzał na dekolt Wiolki.
 - Bo ja wiem... – Wioletta wyprostowała się, założyła ręce za głowę i wypięła biust. Potem wygięła się na bok, pokazując udo i spory kawałek zgrabnego pośladka.
- Marcin ściągnął ciemne okulary.
- Ale ty, kurwa, laska jesteś – gwizdnął przez zęby.
 - A co – blondynka była świadoma swoich walorów. Znała też kilka sposobów na ich uwydatnienie. Z torebki wyciągnęła kosmetyczkę i zaczęła poprawiać sobie makijaż zerkając do bocznego lusterka. Nagle z jej twarzy zniknął uwodzicielski wyraz i pojawiło się przerażenie.
 - Zobacz! – krzyknęła panicznie – Albo lepiej nie patrz! – Co jest? – spojrzał na nią. Chowała twarz w dłoniach.
 - Jakiś, kurwa, wielki pryszcz na czole! Wież mnie do kosmetyczki!
 - No co ty, przecież mieliśmy jechać...
 - Wież mnie, mówię ci! To pewnie ta stara nachuchała na mnie, kurwa, jakimś syfem! A może do szpitala od razu?!
 - Wiolka, uspokój się, przecież to, kurwa, tylko pryszcz...

– Zamknij się, nic nie wiesz. To pewnie jakiś syf, gnój mi się na czole robi i gówno! Zielony mercedes zawrócił w miejscu i ruszył w kierunku szpitala.

– Kto to jest? – ordynator szpitala patrzył na przykryte białym całunem ciało.
– Nie znaju – powiedział doktor Fiodor Iwanowicz Stepiczow, doskonały młody chirurg, trzydziestoletni imigrant z Białorusi – nikakich dokumentow nie było. – A dlaczego kazał mnie pan zawołać, doktorze? – ordynator dobrze wiedział, że Białorusin nie wyzwiałby go w blażej sprawie.
Stepiczow odsłonił białe prześcieradło i wskazał przyczynę.
Ordynator wziął głęboki wdech, policzył do dziesięciu. „To niemożliwe” – pomyślał. Dowód na to, że jednak się myli, leżał przed nim.
– Spotkał się pan kiedyś z... z czymś takim, doktorze? – Niet – brzmiała krótka odpowiedź – Eta nie wsio. Pasmatricie

zdzies – stuknął palcem w klatkę piersiową. – Twarda – stwierdził ordynator.
– Twiorda – przytaknął lekarz – szto z niej działamy?
– Nie wiem... Dajcie ją do chłodni, spróbujemy odnaleźć rodzinę. Jak zmarła?
– Serce. Tak skazali. Adin chociaż zratować, nie zdołał. – Może zrobić sekcję? Ona jakaś nienaturalna.
– Da, nienaturalna.
– Może jakieś odkrycie nam zaliczą? – snuł ordynator – Może coś do prasy fachowej napisać?
– Kak sobie żelajecie. Można i napisać.
– Dobrze. Dziękuję panu – ordynator otarł czoło chustką – ja zajmę się resztą. I niech pan nie mówi nikomu o tym... – wskazał na głowę denatki.
– Nie nada – zgodził się Fiodor Iwanowicz – patamu szto nikto tak ili inacze nie pawieri. – Tak. Proszę ją nakryć. Zrobi pan sekcję?
– A acetylnyj palnik u was jest? – Co? – ordynator potrząsnął głową w zadumie –





📷 Dariusz Dorosz

Co pan mówi? Palnik? Nie, nie ma.
– No to sekcji toż nie budziet.

To nie był dla niej dobry dzień.
– Podwieź mnie do domu!
– Dobra, już cię, kurwa, wiozę!
Zielony mercedes musiał mieć naprawdę dobre opony, zważywszy, ile razy ruszał z piskiem i ze smrodem palonej gumy. Marcin zmieniał biegi gwałtownymi szarpnięciami i wciskał gaz niemal do deski. Od czasu do czasu rzucał na siedzącą obok dziewczynę pełne złości spojrzenie. Wioletta siedziała z zaciśniętymi wargami i patrzyła prosto przed siebie. Na twarzy miała przylepiony plaster – duży opatrunek zasłaniający bez mała pół nieskazitelnego do niedawna czoła.
Sto osiemdziesiąt na godzinę w terenie zabu-

dowanym nie było rozsądną prędkością. Wyprowadzani kierowcy stukali się wymownie w czoło, rodzice spacerujący z dziećmi po osiedlu mieli przerażone miny i trzymali swoje pociechy profilaktycznie przy sobie.

– Marcin zwolnij – odezwała się Wioletta – proszę cię.
– Przestań! – nie słuchał jej. A właściwie to słuchał. I robił na złość.

Sto dziewięćdziesiąt na godzinę. Dziewczyna czuła narastający niepokój. Nie chodziło o prędkość samą w sobie, bo przecież nie pierwszy raz zdarzało im się tak jeździć. Wiedziała, że Marcin odpręży się za kierownicą, że dobrze mu to robi. Nie chciała mu w tym przeszkadzać, ale... Miała dziwne przeczucie, czuła jakąś presję. Nie potrafiła tego opanować. Sprawdziła, czy mają zapięte pasy. Dziwnym trafem mieli oboje. Nie mogła dłużej wytrzymać. Nagłym i niespodziewanym ruchem nacisnęła z całej siły na hamulec. Rozległ się pisk. Potem po raz kolejny był smród palonych opon i dym. Ktoś coś krzyczał.

Kiedy gra się w kosza, łatwo dać się ponieść emocjom. Paweł był dobrym koszykarzem i lubił sobie pobiegać. Gdy zbierała się porządna paczka ludzi, którzy umieli i chcieli pograć, robili dwie piątki i grali krótkie mecze do dwudziestu, ze zmianą stron. Do pięciu wygranych. Teraz było cztery – trzy dla drużyny Pawła i szansa na zwycięstwo. Gdyby jeszcze nie to, że boisko do kosza na osiedlu było położone między blokami, a dokładniej rzecz biorąc, między blokiem a ulicą. Jasne, że marzyła im się siatka wokół boiska, taka, jakie są w Stanach. Niestety, warunki były takie, jakie były i trzeba się było przystosować.

Kiedy gra się w kosza, łatwo dać się ponieść emocjom. Piłka znowu wyleciała na ulicę. Paweł pobiegł po nią, myśląc, jak rozegrać być może ostatnią akcję tego meczu. Nagle poczuł smród palonych opon i dym. Jeszcze wcześniej był pisk hamowania. Zielony mercedes zatrzymał się kilka centymetrów od niego. – Paweł!!!! – ryknął ktoś z boiska.

Na szczęście nic mu się nie stało. To było tylko i wyłącznie szczęście. Bo coś innego mogło sprawić, że rozpędzony samochód zacznie hamować już pięćdziesiąt metrów wcześniej?

Marcin rzadko wpadał w taki stan – nic nie mówił, nie palił, nie włączał muzyki na cały regulator. Nie przeklinał. Rzadko to za często powiedziane. To mógł być jego pierwszy raz – kiedy siedział, pił sok jabłkowy i patrzył przez okno swojego samochodu.

– Nawet na niego nie krzychałeś – powiedziała Wiolka. Nie pojechała do domu, chociaż była strasznie głodna – zawsze opieprzasz takich głupków, że ci wybiegają na ulicę.

Normalną ripostą na takie stwierdzenie byłoby hałaśliwe przyznanie racji. Albo hałaśliwe rzucenie, żeby nie mówić, że robi coś „zawsze”. Generalnie coś hałaśliwego. Teraz tylko pokiwał w zamysleniu głową.

– Czego ty tak, kurwa, nic nie mówisz? – Wioletta tęskniła za normalnością. Ona też nie miała najlepszego dnia. Odrobina codzienności dobrze by jej zrobiła – mów coś. Albo chodźmy coś zjeść. Na pizzę do Kalifornii, dobra?

Skiniecie głową.

– To co, idziemy? Marcin? Albo wiesz co, nie idźmy. Bo wszyscy będą się gapić na ten pieprzony plaster i będą się zastanawiać, co ja tam mam pod spodem. Może kupimy coś w sklepie, jakieś chipsy i batoniki, dobra?

Brak reakcji.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! A co ty myślisz, że tylko ty miałeś dzisiaj zły dzień, co? Ja też, kurwa, mam od rana pecha! Ty wiesz, co taki pryszcz może mi zrobić z cerą?

Chłopak spojrzał na blondynkę, wziął głęboki oddech i zapytał nieśmiało:

– Dlaczego... skąd wiedziałaś... żeby hamulec wcisnąć?

Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Tak jakoś. Przeczucie, nie słyszałeś o czymś takim? Archiwum X nie oglądałeś? No, to coś takiego... Zawieziesz

mnie do domu?

Kiwnięcie głową. Że tak.

To nie był dla niej dobry dzień.

Wieczorem w łazience ostrożnie odkleiła plaster i ściągnęła nasączoną wodą utlenioną gazę. Tego już nie można było nazwać pryszczem. To było jak guz – wielki, czerwony guz na samym środku czoła, obramowany fioletowo – żółtą otoczką. Guz powiększył się znacznie od momentu odkrycia go. Skóra była naprężona, naciągnięta tak, że aż bolały ją brwi. Wydawało się, że skóra pęka pod naporem jakiegoś ciała obcego. Przestraszyła się. Widziała takie filmy. Widziała Obcego, widziała inne horrory, w których w ludziach lęgną się jakieś potwory, a potem wychodzą na wierzch, przebijając się przez ciało w asyście strumienia krwi i kilku metrów spektakularnie nie wypróżnionych jelit. Słyszała też coś o raku. Dużo słyszała, przecież... Nie była pewna, ale zdawało jej się, że ta choroba rozwija się w podobny sposób.

Bała się. Naprawdę się bała.

Nie wiedziała, co robić. Najpierw opryskała guz perfumami. Zapachniało. Po chwili namysłu posmarowała czoło kremem nawilżającym. Nałożyła z powrotem opatrunek. Poprawiła makijaż. Matka, kiedy jeszcze żyła, awanturowała się regularnie przy każdej zmianie pościeli o to, że poszewki są brudne od tuszu do rzęs i szminki. Matka zmarła dwa lata temu na raka, a Wioletta nie porzuciła zwyczaju malowania się do snu. „Nigdy nic nie wiadomo” – twierdziła – „A może ktoś przyjdzie? I jak ja się wtedy pokażę?”. Dzisiejszy makijaż nie wyszedł najlepiej. Miała drżące ręce, rozmazała tusz po powiece. Potem przebrała się w jedwabną czarną bieliznę i takiż szlafrok i wyszła z łazienki. Próbowwała uniknąć spotkania z ojcem. Udało się.

Prawie.

– A co ty masz na czole? – ubrany w kraciastą piżamę ojciec wytoczył się z kuchni z tabliczką czekolady z orzechami w rękę.

- Ni... nic – bąknęła, próbując ustawić się do niego bokiem albo prawie tyłem – przyszc mi wyskoczył.
 - O, biedna Wiolka! – zaśpiewał ojciec ironicznie – I jak ona będzie teraz żyła? Chyba żeby się przyzwyczaiła.
 - Cicho bądź!
 - No już jestem cicho. Chcesz koczelady?
- Wioletta rozchmurzyła się nieco:
- Chcę.
 - To se kup, chacha! – ojciec miał dobry humor. Zdaje się, że znów oglądał któryś z filmów „Monty Pythona” na video.
 - Ale śmieszne – naburmuszyła się Wiolka i ruszyła do swojego pokoju.
 - No już, Wiolka, masz – ojciec przełamał tabliczkę na pół – i nie mów, że ojciec taki zły jak go socjologowie malują. Tylko zęby swoje białe umyj przed spaniem. A, i miałem ci coś mówić: rzuć tego dresiarza!
- Wioletta trzasnęła drzwiami ze złością. Ojciec mówił jej to codziennie – od kiedy weszła w towarzystwo Marcina i jego kolegów. Nie prawił kazań, nie robił awantur. Tylko ciągle się z niej nabijał. Sam ubierał się w luźne koszule i sztruksowe spodnie, nosił długie włosy i od czasu do czasu zapuszczał brodę – ale nie elegancką bródkę „na muszkietera”, tylko zupełnie nie podgalaną brodę na całej twarzy. Nie rozumiała, jak można być takim flejtuchem, jak można słuchać jakiejś dziwnej muzyki z Afryki, jak można tracić tyle pieniędzy na książki. Nie rozumiała, dlaczego jej własny ojciec jest tak dokładnym przeciwnieństwem jej ukochanego Marcina. Nie rozumiała, dlaczego ojciec i jego koledzy śmieją się mówiąc, że żeby zrobić sałatkę z buraków, trzeba wrzucić granat do mercedesa. Przecież to właśnie ojciec i jego koledzy z tego ich śmiesznego Wycieczkowego Klubu Niedzielných Rowerzystów byli niesamowitymi burakami. Wstydziła się ojca. Ale on nic sobie z tego nie robił i kiedy od czasu do czasu (choć bardzo rzadko) Wioletta zapraszała Marcina do domu, ojciec wpraszał się do pokoju i zaczynał dziwną rozmowę z jej chłopakiem, podczas której co drugie zdanie był miły, a co drugie obrażał go jakimiś przestarzałymi grypsami typu „czegoś taki

zdziwiony ty głupi obrzygany cycu?”. Nic dziwnego, że Marcin nienawidził odwiedzin w jej domu.

Leżała w łóżku i pogryzała czekoladę. Rozmyślała. Próbowła zapomnieć o dziwnym przyszc na czole, o staruszce, która mówiła, że „będzie wiedzieć i widzieć”, o szaleńczej jeździe samochodem i niemal pewnym wypadku, którego jakimś cudem uniknęli. Próbowła zmusić się do myślenia o czymś przyjemniejszym. O nowej spódniczce, którą upatrzyła sobie w butik. Próbowła nucić najnowszy kawałek Shakiry. Nie udawało się jej – po pierwsze dlatego, że nie знаła angielskiego, po drugie dlatego, że nie przestawała myśleć o wydarzeniach tego dnia. O Marcinie, nawet o ojcu. Gdy zamykała oczy, przed oczyma stawała jej stara kobieta i jej wzrok. Było coś niesamowitego w jej spojrzeniu. Nie pamiętała dokładnie, co. Co chwila, niemal odruchowo łapała się za czoło i delikatnie dotykała opatrunku. Czuła, że to wszystko, cały wyjątkowo pechowy dzień ma związek ze staruszką z przejścia dla pieszych. Wiedziała to. W głowie huczały jej słowa siwej kobiety: „Będiesz wiedzieć”. I faktycznie wiedziała. Nie mogła zasnąć.

- Proszę!
- Drzwi otworzyły się i do gabinetu ordynatora wszedł Fiodor Iwanowicz Stepiczow. Jak zwykle z lekkim uśmiechem i szczerym spojrzeniem jasnych słowiańskich oczu. Ordynator wyglądał na bardzo zmęczonego:
- Słucham, panie doktorze?
- Obaj wiedzieli, w jakiej sprawie przyszedł młody białoruski chirurg. Ta gra pozorów nie była potrzebna. Fiodor Iwanowicz uznał wstępy za zbyteczne.
- No i szto wy uznali?
 - Uznali? – zastanowił się ordynator – znaczy co?
 - No, kak to u was... dowiedzieli się?
 - A... nic. Żadnych krewnych, żadnych dokumentów. Samotna staruszka, jakich wiele.
 - Takich ocień mnogo nie uwidzisz.


 Joanna Bukowska

- Racja, racja. Tak tylko mi się powiedziało.
Krótco mówiąc: zero. Nic.
- Znacził, eta takije Argiwum X, tolka w
Polszy?
- Ordynator podrapał się z zakłopotaniem w
głowę.
- Cholera, wychodzi na to, że tak. Żadnego
jasnego wytłumaczenia nie ma.
- Możiet być, że niet, możiet być że budiet –
Stepiczow był tajemniczy.
- Ordynator podniósł wzrok na chirurga.
- Coś pan wie?
- Pajdities pażałsta sa mnoj, a ja wam maju
teoriiu objasniu.
- Dobrze, dobrze. Która godzina?
- Poczti połnocz.
- Poczti...?
- No... prawie połnocz.
- Dobrze, chodźmy.

Wiolka nie spała. Próbowwała, przewracała się z boku na bok, mrużyła oczy. Nie mogła zasnąć. Nie pomagały wypróbowane sposoby – liczenie baranów, leżenie na wznak z wywróconymi do tyłu gałkami ocznymi czy leżenie na brzuchu. Gdy tylko zamykała oczy, widziała różne obrazy – rzeczy

które się wydarzyły, zwłaszcza rzeczy które miały miejsce tego dnia. Słyszała pisk opon mercedesa Marcina i widziała młodego koszykarza przed maską auta. To nie było wszystko – widziała też jakieś obrazy, których nie rozumiała. Widziała ognisko, wokół którego płaśły ubrane na biało bosc dziewczyny. Nieopodal stał stół zastawiony przeróżnymi smakołykami – takimi, jakich Wioletta nigdy nie widziała na imprezach u swoich przyjaciół: pieczonymi prosiakami, wielkimi bochenkami czarnego chleba, plastrami sera, glinianymi dzbanami wypełnionymi piwem, winem i jeszcze jakimś nieznanym napojem. Półmiski piętrzyły się podplomykami różnych kształtów i z różnym nadzieniem, co sugerowały na przykład ślady konfitur albo kaszy gryczanej na wierzchu. Oprócz tego były tam pieczone warzywa – rzepy, ziemniaki posypane przyprawami, marchew, dużo jabłek, sliwek i gruszek. Wielu potraw Wiolka nie potrafiła rozpoznać. Potem znów były jakieś tańce, jakieś fajerwerki.

Wioletta nigdy nie miała takich snów. Nie wiedziała, skąd w jej głowie znalazły się obrazy, o jakich wcześniej nie miała zie-

lonego pojęcia. O takich ucztach ani nie słyszała, ani nie widziała nigdy w telewizji, ani tym bardziej nie czytała. Jednak musiała przyznać, że wizja była smakowita. Postanowiła pójść do kuchni i spróbować ukoić bezsenność kanapką z serem.

Wstała. Wtedy poczuła mocne pieczenie w czoło. Dużo mocniejsze niż poprzednie objawy. Czuła spływającą po czole lepka ciecz. Zrobiło jej się słabo. „Pękło” – przecieciało przez struchlałą głowę. Pobiegła do łazienki. Zrzucenie opatrunku było kwestią chwili. Spojrzała w lustro.

Zobaczyła to. Pociemniało jej w oczach. Przypomniała sobie staruszkę szepczącą do niej „Będiesz wiedzieć. I widzieć”.

Przypomniała sobie jej twarz. Widziała ją przecież wyraźnie.

Teraz uwierzyła, że to co widziała, było prawdą.

Zemdlała.

– Północ przed drzwiami kostnicy, pięknie – mrucał ordynator, puszczając białoruskiego chirurga przodem.

W kostnicy było cicho i chłodno. Tak jak być powinno.

– Gdzie ona? – Fiodor Iwanowicz Stepiczow rozglądając się po stołach – eta była zdies...

– Tutaj jest, panie doktorze – ordynator odkrył ciało. To był ona. Wieszczyca.

–A, da – Białorusin stuknął w klatkę piersiową. Nic się nie zmieniło, dźwięk był wciąż ten sam. Żeliwo – eta ana.

Jeśli w tym momencie ktoś wszedłby do pomieszczenia, obaj lekarze zmarliby niechybnie na zawał serca. Na szczęście drzwi były zamknięte.

– No i co? – przerwał ciszę ordynator.

Chirurg odchrząknął:

– Wy rżane baby znajecie? Ili wiły, ili baby jędze? – zagaił cicho.

– Kogo ?

– Kak w skazkie o Jasiu i Małgosi, znajecie?

Ordynator wypuścił powietrze nosem.

Zastanawiał się, czy to kpina i czy ciągnąć dalej tę farsę. Widok zmarłej staruszki przemawiał za tym, żeby kontynuować.

– Chodzi o czarownicę, tak?

– Da. U nas eta rżana baba. Ana wysoka, bliednaja, wołos u niejo dołgij, biełyj. Kak posmatrisz – ta zdies szto takaja... – Co mi pan tu bajki jakieś wciska? – przerwał ordynator nerwowo. Nie podobała mu się ta opowieść. Nie w tym otoczeniu.

– Akańzić dajcie – głos Fiodora Iwanowicza był natchniony, odbijał się echem po ścianach kostnicy – ja nie skazku razkazywaju, no kak możiet i być, prawdu. A wy uże uwidzieli żeńszczinu kak ana? Nie uwidzieli! A ja znaju, kto ana. Ana wieszczyca. Ana widiot i ana znajet, szto budiet w buduszcziem, znaczit w przyszłości. Ana wieszczyca.

– Jaka wieszczyca, doktorze?

– U nas stariki razgawariwajet, szto u baby rżanej, u wieszczycy, żelieznaja grudź – jeszcze raz, dla potwierdzenia, stuknął denatkę w klatkę piersiową – słuszajcież, kak wy eto abjasnicie, a? A u wieszczycy grudź żelieznaja, patamu szto ana dieci na śmierć szczekotajet.

– Szczekotajet? – głos ordynatora drżał. Fiodor Iwanowicz pokazał na sobie gest łaskotania.

Ordynator czuł, że włosy na głowie stają mu dęba. Na szczęście nie miał ich już wiele. Spróbował zwalczyć strach. Najlepszą obroną – atakiem:

– Co mi pan tu sugeruje, że to jest jakiś stwór bajkowy? Takich nie ma. Jaka żelazna grudź, widział kto kiedy coś takiego? I to pan mówi, po latach komuny u was, w zabobon jeszcze pan wierzy?

– Ja tolka abjasniaju, kto eta być możiet.

– To by trzeba badania zrobić, sprawdzić, udowodnić, wezwać naukowców.

– Wyzwacie?

Ordynator oparł się o stół i zacisnął wargi. Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wezwę. Po co aferę robić? Co to, cielę z trzema głowami? Pochowamy ją i będzie spokój. Przecież ona właściwie to jest całkiem normalna.

Chirurg spokojnie odstłonił grzywkę staruszki.

– Całkiem? No to szto eta?

Nie poszła do szkoły, chociaż wiedziała, że Marcin na nią czeka. Poczekala, aż ojciec wyjdzie do pracy. Nie patrzyła w lustro. Nie zjadła śniadania. Nie wierzyła, że ta sytuacja dzieje się naprawdę. Postanowiła pójść do szpitala – choć nie wierzyła, że spotka tam kogoś, kto znajdzie jakieś wytłumaczenie. Jednak intuicyjnie czuła, że warto tam pójść.

Założyła opatrunek. Porządnie, tak, żeby na pewno nie odpadł. Mijając ludzi patrzyła im w oczy ze strachem, strachem przed odkryciem własnej tajemnicy. Mijając ludzi widziała obrazy malujące się w ich oczach: wielkie radości i chwile smutku, wypadki, śmierć i narodziny, miłość i nienawiść, kłótnie, egzaminy, wczasy i ciężką pracę. I różne inne.

Miała mętlik w głowie.

Po wejściu do szpitala ruszyła zdecydowanie na trzecie piętro, kierując się jakimś nieznanym impulsem. Machinalnie zapukała do drzwi z numerem 327 i nie czekając na zaproszenie nacisnęła na klamkę.

- Dzień dobry – powiedziała cicho – mam problem. Wiem, że pan może coś na to poradzić.
- Dzień dobry – mężczyzna w zielonym stroju chirurga miał podkrążone oczy i zmierzwił włosy. Widać było, że drzemał. Jego akcent zdradzał wschodnie pochodzenie – szto boliejjet?

– Proszę?

– Co dolega?

- Aha... – Wioletta złapała się za opatrunek i ściągnęła go jednym szybkim ruchem – To!

Lekarz oprzytomniał w jednej chwili:

- Wieszczyca – wymamrotał – istynnyja wieszczyca. Sadies pażalsta.

Teraz wiedziała wszystko. Fiodor Iwanowicz Stepiczow powiedział jej to, co wcześniej powiedział ordynatorowi. Nie było to łatwe – po pierwsze do zrozumienia, po drugie do przyjęcia. Doktor miał miłą twarz i sympatyczny uśmiech. Szkoda, że mówiąc jej o wieszczykach uśmiechał się

tak rzadko. Sprawa był poważna.

Marcin próbował się do niej dodzwonić, ale po kilku sygnałach wyłączyła komórkę. Nie miała ochoty rozmawiać. Nie z nim.

Myślała o samobójstwie. O tym, kto przyjdzie na pogrzeb. O pogrzebie matki dwa lata temu. Dawno go nie wspominała. To po pogrzebie poznała Marcina. Wtedy jeszcze nosił czarne dresy. Uśmiechnęła się kwaśno do swoich myśli. Po raz pierwszy dawały jej się takie płytkie. Przypomniła sobie koszykarza przed maską. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, skąd Marcin brał pieniądze na benzynę.

Z braku lepszego zajęcia zaczęła obierać ziemniaki. Gdzieś koło trzeciej wstawiła je na gaz i pomyślała, że warto by kupić coś do obiadu. Poprawiła opatrunek na czole i wyszła do sklepu.

Gdy wróciła, ojciec siedział przy stole z leka-



 Dariusz Dorosz

rzem, któremu zdradziła swoją tajemnicę. Z doktorem Stepiczowem. – Jest i nasza zguba doktorku! – huknął ojciec wesoło.

– Dzień dobry – lekarz uklonił się.

– Nie zostawiaj ziemniaków na ogniu, bo będziesz na spalonym – ojciec krzątał się po kuchni.

Nie zwróciła uwagi na to co mówi. Pełnymi przerażenia oczyma patrzyła na chirurga. Było tam pytanie. Jedno, zasadnicze: „powiedziałeś?”.

– Co kupiłaś? – ciągnął ojciec beztrząsco.

– Ke...kefir – wyjąkała – i chipsy.

– Kefir dobrze. Chipsy też dobrze. Będą do piwa. Pije pan piwo doktorze?

– Da, no pierwego stakana nie zakuszaju – odpowiedział Stepiczow. Ojciec uśmiechnął się:

– Taka siudba czelawieka – rzucił, wyłączył gaz i odlał ziemniaki. Na przygotowaną wcześniej patelnię wbił trzy jajka, posypał kminkiem i posolił. Rozdzielił ziemniaki na trzy talerze, spróbował jednego:

– Córka, jam nie z soli, ale ziemniaki to byś mogła czasem sypnąć białym proszkiem, co? Przepraszam, panie doktorze, ale córka jeszcze mało sposobna.

– Nie wriedi, nie wriedi, znaczit... nie szkodzi, to nie szkodzi.

Wioletta siedziała cicho przy stole i jadła z twarzą pochyloną nad stołem. Szybko odstawiła talerz do zlewu i uciekła do swojego pokoju. Ojciec i chirurg spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Całe popołudnie leżała na łóżku i myślała. Próbowwała podsłuchać, o czym rozmawiają w pokoju stołowym. Ojciec przyszedł po nią wieczorem. Wiedziała, że tak się stanie. Miał w ręku książkę. Rzuciła w przełocie okiem na tytuł. *Mistrz i Małgorzata*.

– Chodź do nas – powiedział.

Przeszli do pokoju stołowego. Fiodor Stepiczow siedział na fotelu i uśmiechał się nieśmiało. – Wiesz? – spytał krótko ojciec.

– Wiem. – odpowiedziała.

– Twoje życie się zmieni – ton jego głosu był poważny.

– Wiem.

– Daleka droga przed tobą, mnóstwo pracy. Teraz to będziesz musiała wziąć się za naukę. – No...wiem.

– Istny Harry Potter – uśmiechnął się nagle – pewnie nie myślałaś, że to możliwe, co?

– Nie.

– Powiem ci szczerze, że ja też w to nie wierzę, ale jednocześnie się cieszę. Wiesz, że dzięki temu możesz widzieć przyszłość? Możesz mi je pokazać?

Niepewnym ruchem odkleiła opatrunek. Na środku czoła błyszczało małe, okrągłe, niebieskie oko, symetrycznie oddalone od dwóch pozostałych.

Oko wieszczycy. Dar Widzenia.

– No tak... – westchnął ojciec – dziwny jest ten świat... Ale teraz to już będziesz musiała rzucić tego dresiarza. A nie, to on ciebie rzuci. Mówiłaś mu już? Zresztą, nie mów mu, niech sam w głowę zachodzi, o co chodzi.

Spojrzała na niego – bez normalnej nienawiści. Nie miała na nią siły. Nagle zobaczyła dziwne obrazy. Zobaczyła siebie – z białą przepaską na czole, gdzieś pośród brzozowego lasu. Nie było żadnych mercedesów. Był jej ojciec, rozmawiała z nim wesoło. Był doktor Stepiczow. Uśmiechał się.

To wszystko nie było takie proste. Ojciec Wioletty dziś wieczorem nie włączał telewizora. Położył się do łóżka i wziął do ręki Biblię. Otworzył na chybił trafił, przeczytał: „Co chcesz, abym ci uczynił?”. To był Ewangelia według św. Łukasza. Odpowiedź brzmiała: „Panie, żebym przejrzał”. Wierzył, zawsze w to wierzył, że jego córka w końcu przejrzy. Teraz miała ku temu warunki.

Tej nocy Wioletta po raz pierwszy od kilku lat poszła spać bez makijażu.

